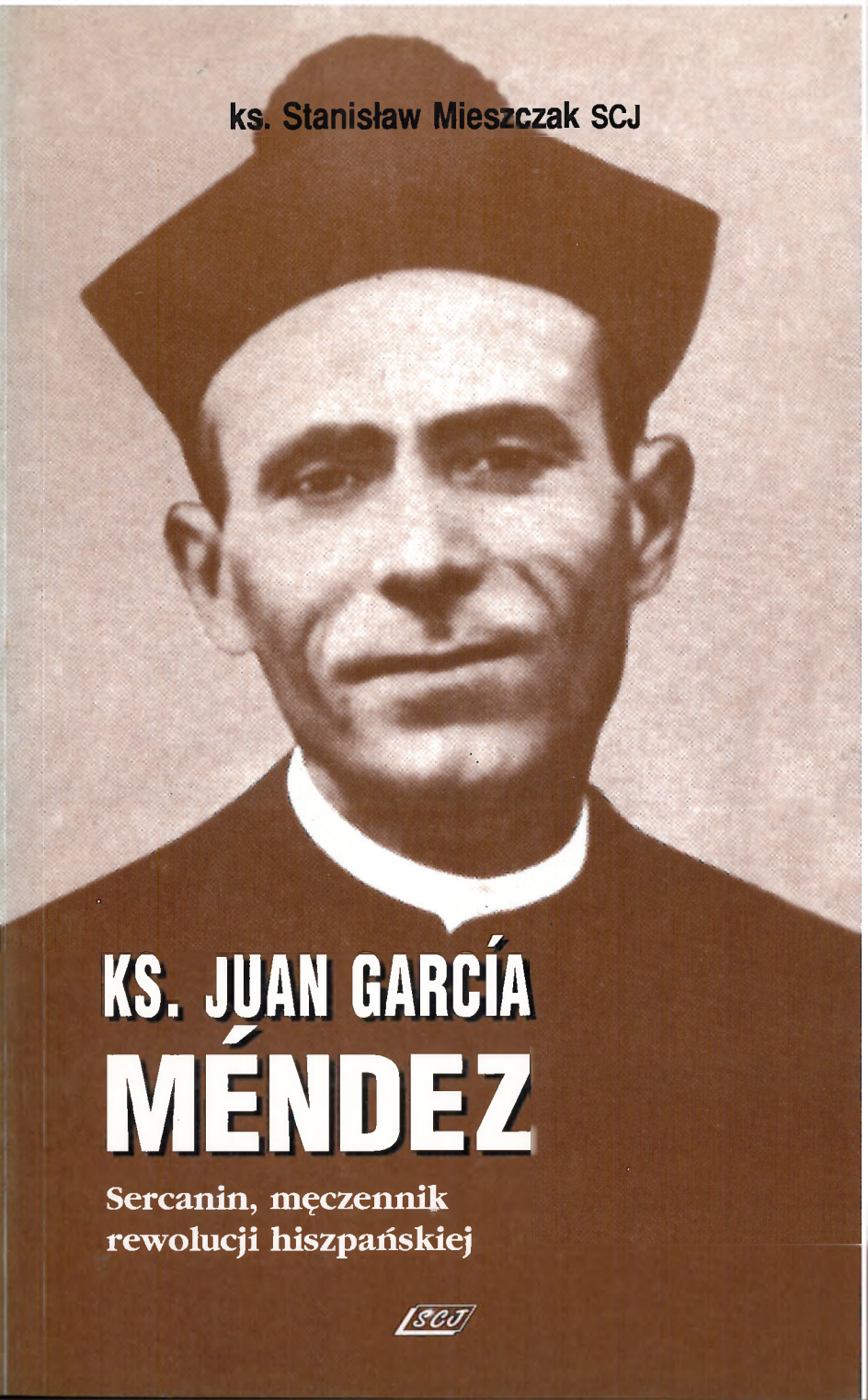


A sepia-toned portrait of a middle-aged man with a serious expression. He is wearing a dark clerical cap and a dark suit with a white collar. The background is a plain, light-colored wall.

ks. Stanisław Mieszczak SCJ

**KS. JUAN GARCÍA
MÉNDEZ**

Sercanin, męczennik
rewolucji hiszpańskiej

SCJ

ks. Stanisław Mieszczak SCJ

KS. JUAN GARCÍA MÉNDEZ

Sercanin, męczennik
rewolucji hiszpańskiej



WYDAWNICTWO KSIĘŻY SERCANÓW

REDAKCJA I PROJEKT GRAFICZNY
Wydawnictwo „SCJ”

KOREKTA JĘZYKOWA
Barbara Przybyło

IMPRIMI POTEST
20.02.2001 r. L.dz. 68/2001
ks. Zbigniew Bogacz SCJ
Prowincjał

ISBN 83-88465-21-X

© 2001 Wydawnictwo Księży Sercanów „SCJ”
ul. Saska 2, 30-715 Kraków
tel. (012) 656 20 42
e-mail: wydawscj@kr.onet.pl
www.wydawnictwo.scj.of.pl

Druk: TAW-DRUK, Kraków 2001

Wstęp

Kiedy w grudniu 2000 roku ogłoszono w Watykanie datę nowej beatyfikacji – 11 marca 2001 roku, wiadomość ta zelektryzowała szczególnie wspólnoty sercańskie na całym świecie. Oto bowiem Ojciec Święty zaplanował wynieść do chwały ołtarzy kolejną grupę męczenników wojny hiszpańskiej z 1936 roku, w której znalazł się również sercanin, ksiądz Juan* Maria de la Cruz García Méndez. Jego imię można wprawdzie przetłumaczyć jako Jan Maria od Krzyża, ale z różnych względów konsekwentnie pozostaję tutaj przy jego brzmieniu hiszpańskim.

Proces beatyfikacyjny księdza Juana ciągnął się przez wiele lat. W przekonaniu ludzi, którzy zetknęli się z nim na wolności lub też w czasie uwięzienia, był to człowiek prawdziwie święty. Tym słowem określało go też wielu świadków na tym procesie.

Trybunały kościelne są jednak o wiele surowsze i wymagają konkretnych faktów. Należy bowiem udowodnić, a nie tylko przypuszczać, że kandydat na ołtarze spełnia wszystkie wymagane kryteria. W przypadku

* [wymowa polska: Huan]

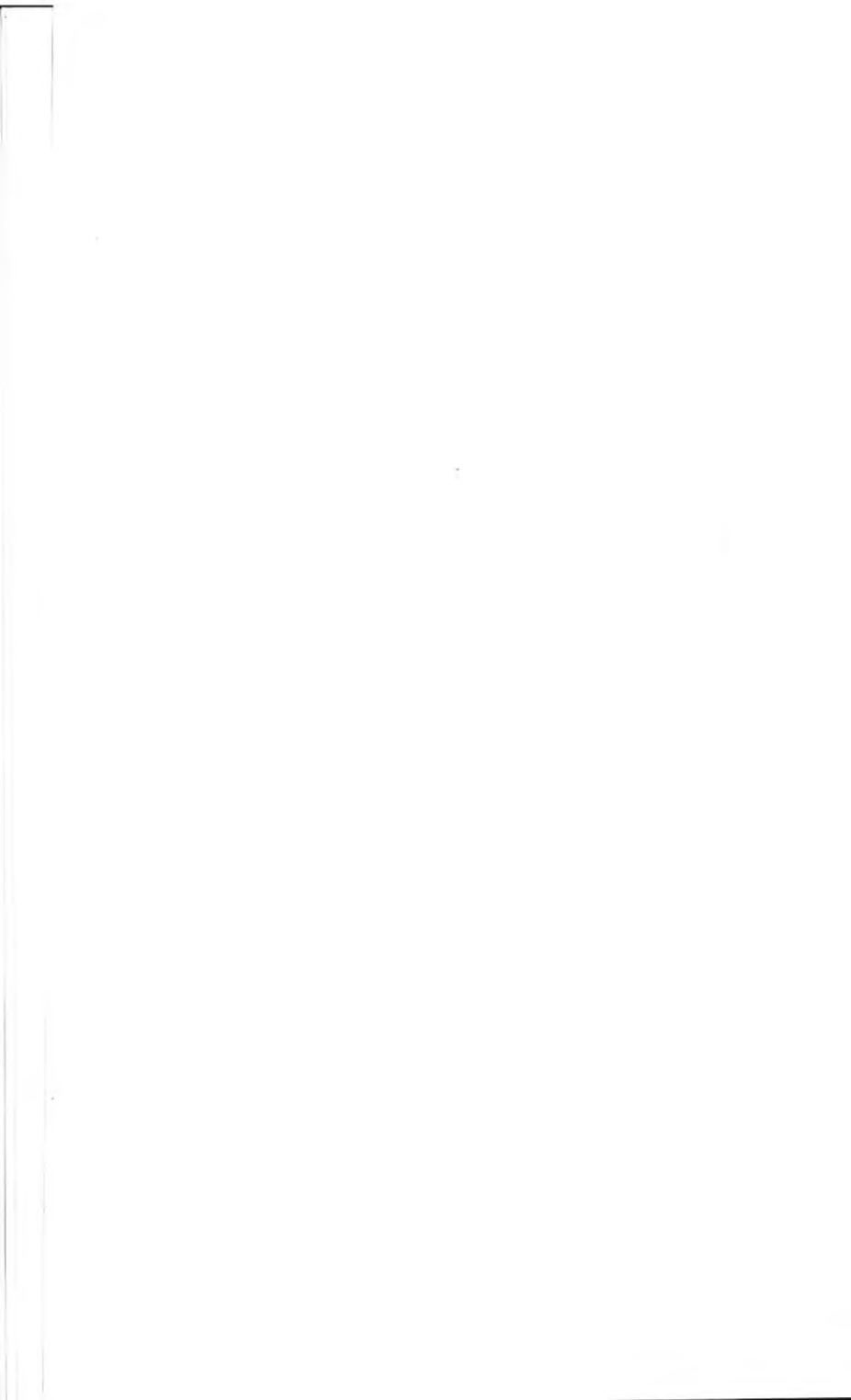
męczennika należy między innymi ustalić z jakim nastawieniem do prześladowców umierał, czy dokonał aktu dobrowolnego oddania własnego życia i czy uczynił to z miłości do Chrystusa i do Kościoła.

Inną grupę trudności stanowiły względy społeczne i w pewnej mierze polityczne. Chodziło bowiem o męczennika z czasów krwawej rewolucji i wojny domowej (1936-1939), po której Hiszpania do dziś leczy rany. Ponadto w pewnych środowiskach na całym świecie wciąż jeszcze żywy jest romantyczny mit hiszpańskiego rewolucjonisty, szlachetnie i po bohatersku przeciwstawiającego się obskurantyzmowi i konserwatyzmowi. A właśnie ze środowisk przeciwnych rewolucji wywodziła się zdecydowana większość męczenników tej wojny. Wszystkie więc sprawy beatyfikacyjne hiszpańskich kandydatów na ołtarze z tego okresu posuwały się bardzo wolno. Podobnie było ze sprawą księdza Juana. Dopiero w perspektywie przygotowań do Wielkiego Jubileuszu, gdy Jan Paweł II wskazał Kościołowi wielkie bogactwo męczenników XX wieku, ruszyły naprzód również sprawy hiszpańskie. Proces beatyfikacyjny księdza Juana był prowadzony przez wiele lat osobno i zajmowały się nim osoby wyznaczone do tego przez Ojca Generała, które zebrały obfity materiał. Nowe spojrzenie na wymiar kościelny wydarzeń wojny hiszpańskiej sprowokowało odpowiedzialnych za procesy męczenników rewolucji do łączenia tych spraw w grupy. Tak więc również i nasz ksiądz Juan zostanie wyniesiony na ołtarze w grupie innych męczenników, bo przecież wraz z nimi złożył swoją ofiarę Panu Bogu.

Data ta mobilizuje nas, sercanów. Ksiądz Juan Maria de la Cruz to jeden z naszych współbraci i pierwszy nasz męczennik. Jego imię otwiera coraz dłuższą listę tych, którzy podążając drogą charyzmatu pozostawionego nam przez Ojca Dehona doszli do heroicznego wyznania swojej wiary.

Ksiądz Juan oddał swoje życie dla Chrystusa w dniu 23 sierpnia 1936 roku w Walencji. W oczach ludzkich przegrał, ale przecież nasi współbracia hiszpańscy zawsze odczuwali jego obecność w życiu swej prowincji zakonnej. Żyje on również w świadomości ludzi, z którymi się spotkał. Jakie więc znaczenie ma to wydarzenie na placu Świętego Piotra, kiedy Ojciec Święty wynosi go na ołtarze i ukazuje oficjalnie Kościołowi? Czy i dzisiaj męczennicy odgrywają jakąś rolę w Kościele, czy są potrzebni szczególnie ludziom wierzącym?

Wspomniane wydarzenie nie może pozostać bez echa, a głównie z punktu widzenia wiary niesie ze sobą wielkie bogactwo duchowe. Zdajemy sobie sprawę, iż to przede wszystkim sercanie powinni je odkryć i dlatego proponujemy poniższe stronicę do refleksji. To jest nie tylko biografia, ale również wprowadzenie w głębszą ocenę znaczenia świadków wiary w życiu Kościoła oraz pomoc do modlitwy. Niech to wszystko posłuży pomocą naszym zakonnikom, a także wszystkim, którzy żyją naszą duchowością miłości i wynagrodzenia Bożemu Sercu.



Życie Juana Marii Garcíi Méndeza

Powstało już kilka życiorysów księdza Juana Garcíi Méndeza w innych językach¹. W dużej mierze dane historyczne tu przytoczone pochodzą z najnowszej publikacji na ten temat, której autorem jest ksiądz Evaristo Martínez de Alegría, przygotowanej na podstawie materiału zebranego przez postulatora w tej sprawie w Rzymie. Nie ma w nim zatem ani na wpół legendarnych opisów, ani opowiadań o cudach, a tylko surowe, udokumentowane fakty. W tym samym duchu pragniemy utrzymać i nasze opracowanie.

Początki

Historia życia naszego bohatera rozpoczyna się 25 września 1891 roku w miejscowości San Sebastian de los Patos w okolicach Avili. Tam bardzo pobożnym

¹ B. MARTIN DEL REY, *Los mártires mueren en Cruz*, Madryd 1962; P. TANZELLA, *Padre García Méndez*, Andria 1977; A. AGUILERA ALAMO, *Testigo hasta la muerte*, Madryd 1984; A. AGUILERA ALAMO, *Trasparentia de una Fe*, Madrid 1986; E. MARTINEZ DE ALEGRIA, *Un Santo al azar. P. Juan García Méndez*, Rzym 2000.

i młodym małżonkom urodził się pierwszy syn. Na chrzcie nadano mu imię ojca – Marian. A trzeba od razu dodać, że patronem ojca i syna był św. Marian, męczennik rzymski z czasów Dioklecjana, umieszczony w Martyrologium pod dniem 19 stycznia.

Rodzina – jak wspomniano – była bardzo pobożna. Ojciec Mariana opiekował się również kościołem w tej miejscowości. Niejednokrotnie po pracy w polu zbierał też ludzi na wieczorną modlitwę. Najczęściej był to różaniec, ale także i nowenny, które prawdopodobnie znał na pamięć, przewodniczył bowiem tym modlitwom. Kapłan pojawiał się w tej wiosce bardzo rzadko – jedynie w niedziele i święta. Również matka małego Mariana, Emerita, nie ustępowała swemu mężowi w pobożności. Jak w większości rodzin, to właśnie ona miała największy wpływ na jej katolicki klimat. W tej atmosferze głębokiej pobożności, stworzonej przez ojca i matkę, wzrastał mały Marian, a także czternaścioro jego rodzeństwa. Nie należy się zatem dziwić, że dość wcześnie pojawiły się u niego pierwsze oznaki powołania kapłańskiego. Jego źródeł można się doszukiwać właśnie w klimacie religijnym rodziny i wioski. Nie bez znaczenia był tu także dotkliwie odczuwany brak miejscowego kapłana.

Swoją formację rozpoczął Marian, jak to się często wtedy działo, u własnego proboszcza. Potem wstąpił do Małego Seminarium w Avili jako student dochodzący. Widać było to możliwe w tamtych czasach. Po jego ukończeniu otworzył się przed nim kolejny etap, czyli studium filozofii i teologii w Wyższym Seminarium Duchownym. Tam wychowawcy dostrzegli w nim czło-

wieka inteligentnego, zdolnego, a przy tym cechującego się ogromną pokorą. Koledzy Mariana, którzy zeznawali potem na procesie beatyfikacyjnym, podkreślali jego dobroć, pewną jowialność w kontaktach towarzyskich oraz poczucie humoru. Często dodawali również – prawdopodobnie pod wpływem tego, co stało się potem – że już w seminarium zdradzał wiele cech człowieka świętego. Abstrahując jednak od późniejszych ocen możemy powiedzieć, że miał wiele cech, dzięki którym zjednywał sobie przyjaciół.

W sercu nosił jednak Marian pewien niepokój. Nosił go od długiego czasu. Był on tym bardziej natrączywy, iż wiązał się z jego miastem i rodzinnymi okolicami. Avila była bowiem miejscem życia i działalności wielkich reformatorów życia zakonnego, jakimi byli św. Jan od Krzyża (1542-1591) i św. Teresa (1515-1582), zwana Wielką. I właśnie to myśl o nich budziła w młodzieńcu ciągłe pragnienie życia jeszcze bardziej poświęconego Bogu, czyli życia zakonnego. Jeszcze w czasie studiów, na przełomie 1913 i 1914 roku podejmuje pierwszą próbę i puka to furty Ojców Dominikanów. Próba ta kończy się jednak szybko gorzkim rozczarowaniem. Ze względu na słabe zdrowie Marian musi opuścić klasztor.

Posługa kapłańska

Po nieudanym doświadczeniu w klasztorze Ojców Dominikanów Marian wrócił do swojego seminarium w Avili, skończył studia i 18 marca 1916 roku został

wyświęcony na kapłana. Być może właśnie ze względu na słabe zdrowie został skierowany do pracy w małych parafiach w okolicy Avili. Nie poczuł się tym jednak absolutnie dotknięty i z wielkim zapałem poświęcił się pracy duszpasterskiej. Fizycznie był bardzo niepozorny – niski, wątłego zdrowia, tak że ludzie często nazywali go między sobą „poquita cosa”, co można przetłumaczyć jako: „takie byle co”, „takie chucherko”. Odnosiło się to jednak tylko i wyłącznie do jego wyglądu zewnętrznego. Do dzisiaj bowiem ludność kastylijskich parafii, w których pracował ksiądz Marian, pamięta o jego pełnym poświęcenia duszpasterzowaniu.

Na pierwszej placówce w wiosce Hernansancho, gdzie zaraz po święceniach posłał go ksiądz biskup Joaquín Beltrán y Asensio, ludzie do dzisiaj opowiadają o ks. Marianie jako o człowieku pełnym miłości i gotowym do posługi o każdej porze dnia i nocy. Niektóre co pobożniejsze, a może i bardziej ciekawskie matrony dokonały interesującego odkrycia: oto ich proboszcz spędzał długie nocne godziny na adoracji Najświętszego Sakramentu. Oczywiście – gdy tylko dowiedziały się one – niedługo potem wiedziała o tym cała wioska. Zresztą nietrudno było zauważyć, jak ważne miejsce w jego duszpasterstwie zajmuje właśnie cześć Najświętszego Sakramentu i głębokie nabożeństwo do Matki Najświętszej. Dostrzegało się to w kazaniach, w sposobie przygotowania nabożeństw, a także w rozmowach z ludźmi. Wierni prawie zawsze mogli spotkać ks. Mariana w konfesjonale, gotowego niezmienne służyć im pomocą. Pomogło to wielu już nie-

co oziębłym religijnie, parafianom odnowić swe praktyki sakramentalne. Był po prostu dla wszystkich.

Wioski, w których pracował ksiądz Marian były nie tylko małe, ale również bardzo biedne. Ksiądz utrzymywał się tam jedynie z ofiar ludzi. W konsekwencji on sam żył również w biedzie podobnej do swych parafian. Ale w przypadku księdza Mariana był to jeszcze jego własny wybór. „Nigdy o nic prosił” – wspominają do dziś jego dawni parafianie. Nawet nie zbierał składki w kościele, co i tym biednym ludziom wydawało się niestosowne. On jednak trwał przy swoim, powtarzając, że w tej sytuacji nie może inaczej postępować. Na plebanię można było wejść zawsze, nigdy nie była zamknięta. Proboszcz umiał pomagać, na ile mógł tym, którzy potrzebowali pomocy materialnej, ale jeszcze bardziej duchowej. Bardzo troszczył się o ludzi chorych, którzy z utęsknieniem czekali na każde jego przyjście.

Tak więc ksiądz Marian, chociaż bardzo skromny i niepozorny, wywierał coraz większy wpływ na swoich parafian. Liczyli się z nim i z jego opinią w każdej sytuacji życiowej. Najciekawsze, że respekt dla niego mieli nawet wrogowie Kościoła i przestępcy. Opowiada się bowiem, że gdy kiedyś w jego parafijce wybuchła bijatyka i doszło do użycia broni, jeden z przestępców, który zastrzelił wtedy kilku ludzi, nawet nie próbował strzelać do proboszcza pomagającego rannym. Opowiadał potem, że nie mógł, bo wiedział, że to jest święty człowiek.

Być może już wtedy dostrzegano świętość księdza Mariana, ale są to raczej późniejsze oceny, które zrodziły się pod wpływem męczeńskiej śmierci. Jednak

już tam widziano wyraźnie jego głębokie życie Chrystusem. Własna siostra, która pomagała mu na plebani, odkrywała ze zdumieniem różne formy umartwień, jakie brat stosował. I nie chodziło tylko o posty, bo przecież te zauważy łatwo każda gospodyni. Chodziło także o inne umartwienia cielesne, którym poddawał swoje wątłe ciało, gdy nikt tego nie widział. Kochające serce siostry potrafiło jednak dostrzec wyraźne ślady tego umartwienia np. na koszuli i innej bieliźnie.

Inną cechą charakterystyczną jego duszpasterstwa był osobisty kontakt z parafianami. Oczywiście mała liczba parafian w wioskach pozwalała na tego rodzaju metody duszpasterskie. Długie i serdeczne rozmowy z ludźmi stawały się często prawdziwymi katechezami. W prostych słowach odkrywał przed tymi skromnymi ludźmi wspaniałość powołania chrześcijańskiego, tajniki życia nadprzyrodzonego i konieczność łaski Bożej. Trudno się zatem dziwić, że wielu parafian zbliżało się dzięki niemu coraz bardziej do Chrystusa i do sakramentów.

W pracy duszpasterskiej księdza Mariana nie było nic z wojowniczości czy nachalności. On po prostu był z ludźmi, których darzył prawdziwą miłością. Ponieważ sam bardzo kochał Boga, Matkę Najświętszą, ta jego miłość udzielała się również w sposób naturalny i niepostrzeżenie wszystkim wokoło. W wypowiedziach wielu jego dawnych parafian, które zebrano na potrzeby procesu beatyfikacyjnego, przewijały się wielokrotnie słowa: „To był prawdziwie święty ksiądz”. I chociaż są to oceny stawiane już z pewnej perspektywy czasowej, to jednak ich wartość polega na ciągłym potwierdzaniu, iż był to „ich” proboszcz, „ich” ksiądz.

Patrząc zaś na sposób jego duszpasterzowania trudno się temu dziwić. Inna rzecz, że był to charakterystyczny „styl” kapłaństwa księdza Mariana, który nie zmienił się do końca jego życia.

W ciągłym poszukiwaniu

Chociaż ksiądz Marian był zawsze bardzo radosny i wszystkim jawił się jako człowiek zadowolony ze swej sytuacji, to jednak nosił głęboko ukryte w duszy wielkie pragnienie życia zakonnego. Niektórym przyjaciołom księżom wyznawał, że ciąży mu życie w parafii. Nie chodziło mu jednak o obowiązki, bo te wykonywał – jak można było łatwo zauważyć – z prawdziwie apostołską gorliwością i radością. Szukał jednak jeszcze innego życia, w którym mógłby się oddać w większym stopniu modlitwie i kontemplacji. I mimo wielu radości z życia parafialnego przejawiał coraz większą tęsknotę za życiem zakonnym.

Jego biskup – pragnąc wyjść naprzeciw jego pragnieniom – pozwolił mu na pewną próbę. I on bowiem dostrzegał niepokój swego księdza i chciał mu jakoś zaradzić. Otóż w roku 1921/1922 ksiądz Marian, za pozwoleniem swojego biskupa, podjął obowiązki kapelana w klasztorze Braci Szkolnych w Nanclares de Oca. Ponieważ zakon ten z zasady nie posiada własnych kapłanów, posługę duszpasterską wykonują pośród tych zakonników inni. Ksiądz Marian chciał przynajmniej w ten sposób zbliżyć się do atmosfery życia, o którym tyle marzył. Ten rok umocnił w nim jeszcze bardziej jego powołanie, tak że za kolejną zgodą swojego bi-

skupa zapukał tym razem do furty klasztoru Ojców Karmelitów w Larrea i tam rozpoczął nowicjat. Ale i tym razem, podobnie jak to było w przypadku pobytu u Ojców Dominikanów, zawiodło jego zdrowie. Życie klasztorne było bardzo surowe i wymagało od zakonnika wielu sił fizycznych, których brakowało księdzu Marianowi. Nie brakło mu natomiast siły duchowej. Nie pogrzał swoich marzeń o życiu zakonnym, o kontemplacji. Nie tracił ducha i ciągle ten sam podążał naprzód.

Po nieudanej próbie u Ojców Karmelitów wrócił do Avili i na polecenie biskupa objął opiekę duszpasterską nad dwoma małymi parafiami – św. Tomasza w Zabarcos oraz w Sotillo de las Palomas. I znowu, stosując opisane wcześniej metody duszpasterskie wpisał się głęboko w serca swoich parafian poczynając od dzieci, poprzez dorosłych, nie pomijając chorych i starych. Ponieważ otaczał wielką czcią Najświętszy Sakrament, tę cześć krzewił wszędzie tam, gdzie się pojawiał. Ponieważ kochał całym sercem Maryję, wkrótce miłość do Matki Najświętszej wzrastała w jego parafiach w sposób zaskakujący. A on ciągle pielegnował w swej duszy inne jeszcze pragnienie.

I właśnie to Pan sprawił, że w końcu jego marzenie o życiu zakonnym zaczęło się realizować. Często, gdy przyjeżdżał do Madrytu, udawał się na modlitwę do kościoła Sióstr od Wynagrodzenia. Tak było i owego pamiętnego dnia w 1925 roku, kiedy w tym kościele, u sióstr, spotkał księdza Wilhelma Zicke. Był to niemiecki sercanin, który wiele lat przepracował na misjach w Kamerunie. W wyniku zmian politycznych

wywołanych pierwszą wojną światową musiał on ze względu na swoje niemieckie pochodzenie opuścić Kamerun.

Być może był to przypadek, ale przecież widzimy w nim rękę Bożej Opatrzności. Oto niemiecki duchowny znalazł się w Hiszpanii i tam rozpoczął nową fundację Zgromadzenia Księży Sercanów. Pan Bóg pobłogosławił jego wysiłki, bo wspólnoty sercańskie szybko zaczęły się mnożyć i rosnać liczebnie, a miejscowa ludność zaczęła jego współbraci nazywać Padres Reparadores, czyli Księża od Wynagrodzenia.

Tenże właśnie ksiądz Zicke, przebywając u Sióstr od Wynagrodzenia w Madrycie, spotkał się w 1925 roku z naszym księdzem Marianem. Czując w niemieckim kapłanie bratnią duszę, ksiądz Marian szybko się z nim zaprzyjaźnił. Wtedy to wyjawiał mu tajniki swojego serca, mówiąc o niezrealizowanym jeszcze pragnieniu życia zakonnego. Ponieważ ksiądz Wilhelm przekonał się w krótkim czasie, jak bardzo szczere i mocno ugruntowane było to pragnienie, dlatego opowiedział mu o swoim zgromadzeniu, czyli o Zgromadzeniu Księży Najświętszego Serca Jezusowego. Oczywiście sama osoba księdza Dehona, przedstawiona przez księdza Zicke, a szczególnie jego ideały, zrobiły wielkie wrażenie na księdzu Marianie.

Był to ideał wynagrodzenia Bożemu Sercu, poświęcenie życia z czystej miłości na wzór Zbawiciela, nie żądając niczego w zamian, odpowiedź na miłość Boga objawioną w Jezusie Chrystusie i niesienie zarzewia Bożej miłości w świat owładnięty nienawiścią i walką klasową. Największym pragnieniem Ojca Dehona było

założenie Zgromadzenia Żertw Najświętszego Serca Jezusowego. Chodziło mu zatem o takich zakonników, którzy potrafiliby wszystko poświęcić dla Chrystusa oraz Jego miłości, i umieliby tę miłość głosić w dzisiejszym świecie. Wprawdzie władze kościelne nie zgodziły się na wspomnianą nazwę powstającego Zgromadzenia, ale ten jego ideał pozostał. Teraz zaś stał się bliski księdzu Marianowi, który zapragnął wstąpić do tego Zgromadzenia.

W Zgromadzeniu Księży Sercanów

Gdy ksiądz Marian Méndez wstępował do Zgromadzenia Księży Sercanów w 1925 roku, istniał w nim jeszcze zwyczaj przyjmowania nowego imienia, na znak niejako nowych narodzin, nowego powołania. Miało to pewne uzasadnienie biblijne. Pamiętamy historię Abrahama, któremu Pan Bóg zmienił imię na Abraham, gdy powierzył mu misję utworzenia ludu wybranego. Podobnie Jezus zmienił imię Szymonowi na Piotr. W tym więc duchu młodzi zakonnicy otrzymywali nowe imię. Ksiądz Marian przyjął także nowe imię – Juan Maria de la Cruz, czyli Jan Maria od Krzyża. Przy jego pobożności maryjnej trudno się dziwić, iż pojawiło się imię Matki Najświętszej. Natomiast imię Jan od Krzyża było przywołaniem ideału, który wciąż nosił w swoim sercu. Chodziło o świętego Jana od Krzyża, jego rodaka z Avili, wielkiego reformatora życia zakonnego z XVI wieku. To jego droga przez krzyż do świętości była zawsze ideałem księdza Mariana albo już raczej księdza Juana.

W nowicjacie swoją gorliwością zaskakiwał nawet przełożonych. Ksiądz Wilhelm, czując się za niego szczególnie odpowiedzialny ze względu na początki powołania, wspierał go na tej drodze. W swoich opiniach podkreślał jego ducha posłuszeństwa, wyrzeczenia i ofiary. Musimy jednak pamiętać, że były to u księdza Juana cnoty praktykowane już od dawna. Zdążyły one przynieść owoce już w jego dotychczasowym życiu, szczególnie na niwie duszpasterskiej. Z drugiej zaś strony były to prawdziwe cnoty, czyli nie tylko naturalne skłonności, ale świadomie wypracowane postawy. Rozwijał je ciągle, stały się jego bliskim ideałem. Teraz, gdy znalazł się w atmosferze sprzyjającej ich rozwojowi, postęp był łatwo zauważalny.

Zdrowie jednak nadal stanowiło dla niego bardzo poważny problem. Podobnie jak było to już wcześniej przy nieudanych próbach wstąpienia do Dominikanów i potem do Karmelitów, tak i teraz zdawało się że będzie musiał opuścić nowicjat właśnie ze względów zdrowotnych. W tej sytuacji, pełen ducha wiary podjął dramatyczny krok: zaczął modlić się do Boga o szczególną łaskę. A modlił się bardzo konkretnie. Prosił Pana Boga o łaskę takiego zdrowia, by mógł w tym Zgromadzeniu przepracować dziesięć lat na chwałę Bożego Serca. Było to pod koniec nowicjatu, a więc w 1926 roku. Trudno nie zauważyć zbieżności tego wydarzenia z datą jego męczeńskiej śmierci, która miała miejsce w 1936 roku.

Łaskę tę otrzymał i jego zdrowie na tyle się poprawiło, że nikt z wychowawców i przełożonych nie miał wątpliwości, iż może złożyć śluby zakonne. Złożył je

w uroczystość Chrystusa Króla, którą wtedy po raz drugi dopiero obchodzono w Kościele powszechnym, i to w ostatnią niedzielę października, a nie – jak jest to dzisiaj – w ostatnią niedzielę roku liturgicznego. Ksiądz Juan złożył swoje śluby w „duchu miłości, obłacy – ofiary i wynagrodzenia”. Były to charakterystyczne cechy postawy Jezusa podczas wypełniania dzieła ludzkiego zbawienia i tę postawę chcieli naśladować duchowi synowie Ojca Dehona.

W czasie profesji, czyli obrzędu składania ślubów, ksiądz Juan otrzymał również krzyżyk profesyjny i szkaplerz Zgromadzenia. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo otrzymywali je wszyscy zakonnicy sercańscy, gdy składali swoje śluby. Warto jednak o tym wspomnieć, bowiem te cenne „drobiazgi” pojawiły się znowu w innym momencie jego życia – tam, gdzie dopełniła się jego ofiara.

Gorliwy zakonnik

Po skończeniu nowicjatu ksiądz Juan podjął normalne obowiązki we wspólnotie sercańskiej. Nie była ona jeszcze wielka, ale prowadziła już znaczące dzieła i potrzebowała odpowiednich ludzi. Często do realizacji tych dzieł brakowało właśnie ludzi, szczególnie brakowało ludzi wykwalifikowanych. Zdawało się, że to bariera nie do przebycia. Jednak żywy we wszystkich wspólnotach sercańskich duch ofiary i wynagrodzenia sprawiał, iż umiano liczyć na Bożą pomoc i nie szczędzono sił, by z nią gorliwie współpracować. To właśnie w takich okresach powstały najwspanialsze dzieła

na gruncie poświęcenia, gorliwości, miłości i ofiary. W nurt takiej właśnie pracy zaangażował się ksiądz Juan. Przepracował rok w szkole apostołskiej w Novelda, gdzie uczył religii i pomagał okolicznym duszpasterzom. Chociaż bardzo kochał swoich uczniów i oni to odczuwali, to jednak brakowało mu talentu pedagogicznego. Był tam jednak potrzebny.

Szkoła apostołska – to rodzaj szkoły średniej dla chłopców pochodzących z ubogich rodzin. Często kończyli oni swoją edukację w szkole wiejskiej, bo ich rodzice nie mieli środków na jej kontynuację. Takie możliwości oferowały natomiast różne zgromadzenia zakonne prowadzące właśnie szkoły apostołskie. Rodzice nie musieli opłacać czesnego, a jeśli to robili – to tylko w jakiejś symbolicznej formie. Chłopcy natomiast mogli zdobywać wykształcenie, które ułatwiał im start w życiu. Z drugiej zaś strony szkoły takie stanowiły ważne źródło powołań kapłańskich i zakonnych. Chłopcy ci bowiem pochodzili z bardzo dobrych, ale ubogich rodzin i danie im szansy na zdobycie wykształcenia otwierało przed nimi również drogę do realizacji powołania kapłańskiego.

Ksiądz Juan, pracując wśród takich chłopców jako wychowawca, nie zapomniał o własnej formacji. Pozostając w stałym kontakcie ze swoim mistrzem nowicjatu i doskonale wtopiony we wspólnotę, dojrzewał do dawania coraz pełniejszej odpowiedzi na wołanie Bożego Serca. A było to wołanie o niesienie miłości tam, gdzie wszystko opanowała nienawiść. Jakimś cichym pragnieniem księdza Juana jeszcze z dawnych lat było oddanie się życiu kontemplacyjnemu. A że

czynił teraz szybkie postępy w swojej formacji wewnętrznej, pragnienie to odezwało się znowu. Widział bowiem, że Zgromadzenie, w którym złożył śluby zakonne, ma raczej charakter duszpasterski. Nie chcąc zaniedbać łaski Bożej, podjął kolejną próbę weryfikacji swojego powołania. Za zgodą przełożonych i przy wyraźnym poparciu księdza Wilhelma postanowił podjąć próbę w klasztorze Ojców Trapistów w Cóbreces. I to doświadczenie skończyło się szybko. Znowu problemy zdrowotne zmusiły go do powrotu. Wtedy wspólnie z przełożonymi, z bliskim sobie księdzem Wilhelmem i mistrzem nowicjatu doszedł do wniosku, że Pan Bóg chce mieć go we wspólnocie sercańskiej. Tu więc skończyły się jego poszukiwania.

Na ten okres przypada jeszcze inne ważne wydarzenie w życiu księdza Juana – pielgrzymka do Rzymu w 1927 roku. Już wiele razy dawał wyraz swojemu zainteresowaniu historią świętych, a szczególnie męczenników. Zbliżenie się jednak do świadków wiary pierwszego Kościoła, w sposób tak konkretny, jak to możliwe jest w Rzymie, wywarło na nim ogromne wrażenie. Było ono na tyle widoczne, że zapamiętali je towarzysze pielgrzymki. Opowiadali oni potem, że trudno go było wyciągnąć z katakumb świętego Kaliksta, czy grobu św. Cecylii. Miejsca te same z siebie prowokują człowieka do głębszej refleksji, a u człowieka wierzącego budzą uczucia, których sam nie potrafi potem wytłumaczyć. Jest rzeczą ogólnie znaną w tradycji chrześcijańskiej, że z katakumb wychodzi się umocnionym w wierze. Ksiądz Juan, gdy opuszczał katakumby, miał powiedzieć do swoich przyjaciół: *Mój*

Boże, jakżeż wielką łaską jest męczeństwo. I znowu możemy powiedzieć, że Pan Bóg przygotowywał swojego sługę na najważniejszy moment jego życia. To, co stało się prawie dziewięć lat później, nie mogło być przecież dziełem przypadku.

W czasie swej podróży przeżył jeszcze jedną wielką radość. W drodze powrotnej z Rzymu zatrzymał się bowiem w Lourdes. Kiedy jeszcze podróżował po Hiszpanii, zawsze starał się nie opuścić żadnego sanktuarium maryjnego. Nawet najkrótsza chwila modlitwy w nim dawała mu nowe siły do dalszej pracy. Często też wyszukiwał sanktuaria najbardziej zagubione na ziemi hiszpańskiej i udawał się do nich, przekonany o szczególnej obecności Maryi w tych miejscach. Pobyt w Lourdes stał się więc dla niego wielką łaską. Wspomnienia z chwil spędzonych na modlitwie przed Grotą Massabielską będą mu towarzyszyć do końca życia. Niejednokrotnie powrócą one w barwnych opowieściach, które przechowali w pamięci chłopcy z innej szkoły apostolskiej, w której pracował, w Puente la Reina. Tam bowiem został posłany po swojej pielgrzymce do Rzymu i do Lourdes.

Kwestarz i poszukiwany kaznodzieja

Nowe zadanie, jakie teraz musiał podjąć ksiądz Juan w szkole apostolskiej w Puente la Reina, było dla niego wielką próbą. Szkoła apostolska, jak już to zostało powiedziane wcześniej, była rodzajem szkoły średniej przede wszystkim dla chłopców z ubogich rodzin. Jako że rodzice nie byli w stanie zapłacić za edukację swo-

ich synów, utrzymanie szkoły spoczywało więc całkowicie na barkach Zgromadzenia.

Trzeba tu powiedzieć, że szkoła w Puente la Reina przeżywała okres wielkiego rozkwitu, wprost pękała w szwach. Często jednak brakowało tam nawet jedzenia. Te dotkliwe braki materialne spędzały sen z powiek przełożonym, a szczególnie księdzu Wilhelmowi. Trzeba było po prostu zbierać pieniądze i inne środki na utrzymanie tej szkoły, kwestując od domu do domu wzorem średniowiecznych zakonników.

Pośród tych trudności i rozterek przełożeni przypomnieli sobie o księdzu Juanie. Jego cechy naturalne i te rozwinięte w czasie formacji predestynowały go do kwestowania znakomicie. Niestety, ksiądz Juan musiał podjąć decyzję i dokonać ofiary z tego, co najbardziej ukochał. A było to przebywanie we wspólnocie zakonnej i poszukiwanie kontemplacji. Posługa kwestarza zmuszała go do długiej nieobecności w klasztorze, do ciągłej zmiany miejsc noclegu i do nawiązywania wielu kontaktów z różnymi ludźmi.

I tu objawia nam się prawdziwy mąż Boży. Decyzję przełożonych przyjął jak wolę Bożą. Zaangażował się w tę pracę całkowicie, aby zaś nie stracić ducha zakonnego, ułożył sobie szczegółowy program dnia, który starał się w miarę możliwości realizować. Niczego nie czynił bez zgody przełożonych. To oczywiście wpływało nadal na jego postawę wiary i miłości do Chrystusa. Emanował z niego Boży pokój i dlatego ludzie cieszyli się z każdego spotkania z nim. A on sam, pełen ducha ofiary na każdym kroku, czyniąc wszystko z miłości do Chrystusa i w duchu wynagrodzenia Bożemu Sercu, ofia-

rowywał Mu każdy dzień swojej posługi z wciąż nowym zaangażowaniem i nową świeżością.

Podróżując teraz wiele, szczególnie po rejonie Nawarry i Kraju Basków, wykorzystywał tę szczególną okoliczność do apostołowania. Widział w tym swoją niezwykle szansę. Spotykając różnych ludzi, z właściwą sobie prostotą, zupełnie tak jak było to już wcześniej w jego pracy duszpasterskiej, starał się wszystkie napotkane osoby zbliżyć do Boga. Roznosił – jak powiedziano potem o nim – „wspaniały zapach Chrystusa”. Odczuwano to wszędzie tam gdzie docierał. W miejscu noclegu nigdy nie szukał dla siebie żadnej wygody. Zadowalał się tym, co mu podano. Ludzie, którzy początkowo z różnych powodów chcieli go zlekceważyć lub odtrącić, często potem szukali kontaktu z nim, ujęci jego postawą i podejściem do życia. On po prostu był dla nich wszystkich. Nie gromił, nie krzyczał, nie wydawał rozkazów, nie potępiał. Był dyskretny, a jednak zawsze zauważalny. Prawdziwy sługa Chrystusa z Ewangelii. Umiał bowiem być bardzo zdecydowany. Zmuszony nocować w gospodach, znajdował się nieraz w różnych sytuacjach. Gdy widział, że coś uwłacza chrześcijańskiej i ludzkiej godności – reagował. Opowiadają o nim, że kiedy dostrzegał w jakimś miejscu obrazy o treści niemoralnej – prosił, by je usunięto. Gdy to nie pomagało, starał się je kupić nie dbając o cenę, a następnie je niszczył. Były to jednak epizody, a ludzie bardziej pamiętają go jako dobrego księdza, który umiał nieść pomoc potrzebującym.

Jeden ze świadków w procesie beatyfikacyjnym, ksiądz Ignacio Vaglia, opowiedział o niezwykłym wy-

darzeniu, którego bohaterem był właśnie ksiądz Juan. Otóż w swoich kwestarskich wędrówkach zawitał on kiedyś do znanej sobie dobrze rodziny państwa Ferrerów w Pamplonie, która już niejednokrotnie ofiarowała mu pomoc dla szkoły apostołskiej. Tym razem, gdy zapukał, otworzyła mu pani domu. Jej twarz naznaczona była ogromnym bólem i lękiem. W krótkich słowach poinformowała go, że jej mąż nie może mu w tej chwili pomóc. Właśnie wybiera się do szpitala, ich córka jest bowiem poważnie chora i za kilka godzin będzie miała tracheotomię. Ksiądz Méndez odwrócił się wtedy z pośpiechem i prawie biegiem udał się do kliniki św. Michała, powtarzając w czasie drogi cały czas modlitwę: *Panie, ta którą kochasz jest chora!* Tak samo informowano kiedyś Jezusa o chorobie Łazarza (por. J 11,3). Gdy wpadł do kliniki, nie bacząc na protesty lekarzy i pielęgniarek dotarł na intensywną terapię. Zbliżył się do leżącej dziewczyny, trącił ją z lekka i rozkazał jej: „Mów!”. Wtedy na oczach zdumionych lekarzy i ku wielkiej radości rodziców dziewczyna odzyskała mowę. Chociaż to wydarzenie może się wydawać nieco legendarne, zostało jednak zapisane w aktach procesu beatyfikacyjnego. Niezależnie od tego, ile w nim jest prawdy historycznej, ilustruje ono doskonale postawę głębokiej wiary i gotowość służenia drugiemu cechujące księdza Juana.

Innym razem, gdy odwiedzał dobroczyńców w jednej z wiosek, ksiądz Méndez dowiedział się, jak bardzo pewna matka przeżywa aresztowanie swojego syna, kapucyna i misjonarza w Chinach. Udał się do niej natychmiast, by ją pocieszyć. W rozmowie przekony-

wał załamaną matkę, jak wielką sprawą jest cierpieć i umrzeć dla Chrystusa. „Pani syn jest męczennikiem!” – powtarzał. Członkowie tej rodziny zapamiętali również westchnienie, jakie wyrwało się księdzu Juanowi w czasie tej rozmowy: „Gdybym i ja mógł mieć to szczęście być prześladowanym i umrzeć dla Chrystusa!”. Również i to świadectwo zostało złożone w procesie beatyfikacyjnym.

Najważniejsze jednak, co czynił – to szukanie pomocy materialnej dla szkoły apostołskiej. W hiszpańskiej prowincji zakonnej nazwano go mężem opatrznościowym, ponieważ wkład, jaki wniósł w utrzymanie szkoły, był wprost nieoceniony. Ludzie widząc jego postawę i dobroć ufali mu i dzielili się z nim tym, co mieli. Z tego kontaktu z ludźmi narodziło się także wiele powołań do Zgromadzenia Księży Sercanów. Sercański kwestarz urzekał młodych ludzi swą pokorą i skromnością. Jeszcze dzisiaj wielu hiszpańskich sercanów powtarza, że wstąpili do Zgromadzenia dzięki spotkaniu z księdzem Juanem.

On sam pozostawał wierny gorliwości, jaką nabył w nowicjacie. Adoracja Najświętszego Sakramentu była dla niego niezbywalnym punktem programu każdego dnia i zdaje się, że to właśnie tam rozwiązywało się wiele jego problemów. Każdy pierwszy piątek miesiąca starał się przebywać w swojej wspólnotcie. Kochał ją. Tam reperował swoje nadwątlone kwestowaniem siły. Dla niej żył i służył Chrystusowi w tej wspólnotcie oddawał się całkowicie. Dał się też w niej poznać jako człowiek bardzo głęboki i odczytany. Ujawniało się to najczęściej w trakcie wspólnych spotkań, w czasie któ-

rych próbowano rozwiązywać trudniejsze zagadnienia natury moralnej zgodnie z nauką Kościoła. Ułatwiała to potem kapłanom ich posługę w konfesjonale, gdy mieli pomagać ludziom w ich problemach. Ksiądz Juan zaskakiwał wszystkich swą głęboką wiedzą teologiczną i znajomością Ojców Kościoła. Tych ostatnich potrafił nieraz cytować całymi akapitami.

Ci, którzy byli uczniami szkoły apostoelskiej za jego czasów z wielką nostalgią wspominają chwile, kiedy ksiądz Juan siadywał z nimi w krzeglankach i opowiadał im o ludzkich problemach, jakie napotkał w czasie swoich wędrówek. Powracały też niejednokrotnie wspomnienia z podróży do Rzymu i do Lourdes. Choć niezbyt sobie radził z utrzymaniem dyscypliny wśród chłopaków, to przecież oni kochali go niezmiernie. On z nimi po prostu był, uczył ich różnych żartobliwych piosenek, co wzbudzało niezmierną radość w całej wspólnotie. Jedno tylko sprawiało chłopcom trudność. Niełatwo było im służyć do Mszy świętej, którą ksiądz Juan odprawiał, gdyż zawsze była ona bardzo długa. Ten zdawał sobie zresztą dobrze sprawę z niecierpliwości chłopców i kiedy chciał nieraz pozo- stać dłużej na modlitwie i dziękczynieniu, po prostu ich odsyłał. Sam kończył potem spokojnie Mszę świętą. Działo się to głównie w święta Matki Bożej i niektórych świętych, jak na przykład św. Filipa Neri.

W czasie kwestowania ksiądz Juan musiał niejednokrotnie spotykać się różnymi duszpasterzami i proboszczami. Ci zaś, urzeczeni jego postawą, zapraszali go potem by głosił u nich kazania. A gdy rozeszła się wieść, jak wspaniałym jest kaznodzieją, z jakim znaw-

stwem ludzkich problemów podejmuje tematy ewangeliczne, jak głęboko wnika w sprawy Boże i jak wielki talent oratorski posiada – zaproszeniom nie było końca. Był po prostu rozchwytywany.

Chociaż jego działalność ograniczała się zasadniczo do Nawarry i Kraju Basków, regionów Hiszpanii najbardziej katolickich i oddanych Kościołowi, to jednak i tam zaczęły się nasilać wpływy rewolucji komunistycznej. Próby zepchnięcia działalności duszpasterzy jedynie do zakrystii i do kościoła z czasem i w tych regionach zaczęły odnosić skutek. Zaczynała się wielka tragedia – rewolucja hiszpańska.

Ruch rewolucyjny pojawił się w Hiszpanii już w latach dwudziestych. Przyczyn było wiele, między innymi kryzys samej monarchii, która nie zamierzała przeprowadzić koniecznych reform. Postępujące ubożenie ludności, trudna sytuacja robotników budziły pragnienie radykalnych zmian społecznych. Na ten podatny grunt nałożyła się następnie przybierająca na sile agitacja komunistyczna, wspierana przez Międzynarodówkę i Związek Radziecki. Nie można także zapomnieć o działaniu zorganizowanych sił antykatolickich, które od połowy dziewiętnastego wieku wykorzystywały każdy pretekst by niszczyć to, co kościelne. Otóż Hiszpania, jako kraj katolicki, stała się również obiektem propagandy, inspirowanej przez rządowe kręgi samej Europy i Meksyku.

W roku 1930 ruch rewolucyjny zaznaczał się już bardzo mocno w społeczeństwie hiszpańskim. Po zwycięstwie lewicy w wyborach administracyjnych w roku 1931 król Alfons II opuścił Hiszpanię. To dało sygnał

do ogłoszenia kraju republiką 14 kwietnia 1931 roku. Wszyscy oczekiwali zmian polityki i reform społecznych, czego wymagała skomplikowana sytuacja wewnętrzna. Znaczna część społeczeństwa chciała cokolwiek zmienić, mało kto jednak interesował się tym, w jakim kierunku mają pójść owe zmiany.

Wkrótce sytuacja wymknęła się spod kontroli również samym inicjatorom nowego porządku. Zmiany dokonywały się oczywiście pod górnolotnymi i chwytliwymi hasłami wolności i demokracji. Ludzie przyjmowali je za dobrą monetę i łatwo dawali się im zwieść.

Czując zaś silne poparcie społeczne, władze republikańskie, obok innych reform, wprowadzały również jedną po drugiej ustawy skierowane przeciw wolności religijnej. Ich skutkiem było stopniowe ograniczenie sprawowania jakiegokolwiek kultu religijnego poza obrębem świątyń. Klasztory, a często nawet kościoły i inne budynki kościelne ulegały konfiskacie na rzecz republiki. Zakonom zabroniono prowadzenia szkół i zakładów wychowawczych. Ostały się jeszcze chwilowo seminaria duchowne. Szerzyły się aresztowania duchowieństwa i zakonników. Podpalono kilkadziesiąt kościołów i klasztorów. W 1932 roku Parlament uchwalił rozwiązanie Zakonu Jezuitów, wywłaszczenie wszelkich własności kościelnych i wypędzono z kraju prymasa. Coraz bardziej jasne stawało się dla Hiszpanów, że nie była to już walka o prawa człowieka i o wolność, ale świadome zwalczanie Chrystusa i Kościoła.

Zaczęto to dostrzegać w samej Hiszpanii oraz poza jej granicami. Oficjalnie wyraził tę opinię Pius XI w roku 1933 w swojej encyklice *Dilectissima nobis*. Wska-

zał w niej, że inspiratorami tej walki są wrogowie wszelkiego porządku religijnego. Trafność jego diagnozy potwierdziła się w czasie drugiej rewolucji hiszpańskiej, która wybuchła w 1936 roku i trwała aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Wtedy to na pomoc rewolucjonistom ścigały oddziały komunistów z całej Europy, uzbrojone najczęściej przez Związek Radziecki. Raz zakorzenione zło trudno było teraz powstrzymać.

Terror rewolucyjny wzrastał na sile. W lutym 1934 roku w Asturii ekstremistyczna lewica narzuciła dyktaturę proletariatu. W ciągu kilku zaledwie dni zamordowano wtedy 34 duchownych i spalono 58 kościołów. Kiedy w lutym 1936 roku lewica hiszpańska przejęła całkowicie władzę, w kraju rozpoczął się okres terroru i anarchii. Zaczęło również wzrastać niezadowolanie wielu grup społecznych.

Tymczasem w koloniach hiszpańskich 18 lipca 1936 roku wybuchło powstanie wojskowe (*Alzamiento Militar*) pod wodzą generała Franco. Poparły go natychmiast garnizony w kraju. Oczywiście był to początek okrutnej wojny domowej, która tak straszliwie naznaczyła losy Hiszpanii w XX wieku. Otóż powstanie generała Franco wywołało szaleńczą reakcję ze strony władz rewolucyjnych. Gdy bowiem dostrzegły one, że sympatie duchowieństwa lokują się raczej po stronie powstania, rozpętały potworne prześladowania Kościoła i zabijanie duchowieństwa, zakonników, zakonnic oraz tych świeckich, którzy oficjalnie odważyli się deklarerować swoją przynależność do Kościoła katolickiego. W samym tylko sierpniu tego roku w Hiszpanii zostało zabitych 2077

duchownych, w tym dziesięciu biskupów. W samej Walencji, gdzie znajdzie się potem ksiądz Juan Méndez, na 1200 kapłanów diecezjalnych zabito 327 – więcej niż jedną czwartą całej ich liczby.

Każda wojna domowa jest wielką tragedią narodu, ale ta w Hiszpanii pozostawiła po sobie szczególnie głębokie rany. Stało się tak być może dlatego, że nie chodziło tu tylko o zmiany społeczne i polityczne, ale o walkę z religią katolicką i Kościołem, którą władze rewolucyjne postawiły sobie jako jeden z priorytetów. Stąd wzięło się potem to szalone i bezsensowne okrucieństwo. Podsumowując ten okres można powiedzieć, że tylko ze strony hierarchii Kościoła katolickiego ilość ofiar sięgnęła zastraszającej liczby. Zamordowano bowiem 13 biskupów, 4194 kapłanów, 2365 zakonników i 283 zakonnic². Katolików świeckich, którzy oddali swoje życie za wiarę, trzeba zaś liczyć na setki tysięcy. Ich ciała znajdowano potem najczęściej we wspólnych dołach – tak charakterystycznych dla każdej rewolucji.

W stronę ołtarza ofiarnego

Czasy, w których teraz wypadało prowadzić działalność apostolską, wymagały od kapłanów i wiernych niezwykłego hartu ducha. I okazuje się, że najsukuteczniejszą odpowiedzią, jaką może dać w takiej sytuacji wspólno-

² Dane na temat rewolucji hiszpańskiej i jej ofiar zaczerpnąłem z B. KUMOR. *Hiszpania. W latach 1814-1939*, [w:] Encyklopedia Katolicka, 6 (TN KUL – Lublin 1993), k. 1041-1043. Posłużyłem się także innymi broszurkami opisującymi życie księdza Juana Garcíi Méndeza.

ta chrześcijańska jest właśnie wzmożenie gorliwości i gotowość do całkowitej ofiary, nawet do ofiary z własnego życia. Tego uczy nas znowu historia Kościoła.

Ponieważ całe życie i posługiwanie księdza Juana było przepełnione gorliwością i ofiarnością dla Chrystusa, trudno więc się dziwić że w okolicznościach, jakie pojawiły się teraz, zaczęło u niego dojrzewać pragnienie złożenia z siebie całopalnej ofiary dla Chrystusa, dla Kościoła i dla Hiszpanii, a także coraz częstsze myśli o męczeństwie. Nie były one być może zbyt jasno formułowane i dlatego nie zwrócono na nie baczniejszej uwagi, ale gdy ofiara została dopełniona przypomniano sobie wtedy owe rozproszone zdania i myśli, jakie ksiądz Juan wypowiadał już wtedy, gdy nikt jeszcze niczego się nie spodziewał.

Do takich świadectw należy i to, które złożyła jego bratowa. Na początku 1936 roku ksiądz Juan udał się w odwiedziny do swojej matki i brata. W rozmowie wszyscy wyrażali niepokój w związku z zaistniałą sytuacją społeczną i polityczną. Nie trzeba było być wielkim prorokiem, by dostrzec, że nad Hiszpanią zbierają się czarne chmury nowej wojny domowej. Ksiądz Juan też widział ją na horyzoncie. On jednak przy tej okazji wyraził chęć oddania swego życia za Chrystusa, za Kościół i za Hiszpanię. Powiedział do swojego brata: „Wiktorze, ten kto ma szansę przelania własnej krwi dla Chrystusa, musi być szczęśliwy!”. Pragnienie męczeństwa kielkowało zatem w jego sercu, tak bardzo oddanym Chrystusowi i Jego miłości.

Tymczasem w małej wspólnotce sercańskiej zaszły ważne zmiany. Biskup miasta Cuenca powierzył im

w 1936 roku opiekę nad sanktuarium Matki Bożej w Garaballa, opuszczonym przez Ojców Trynitarzy. Było to na rękę sercanom, ponieważ szukali ustronnego miejsca na nowicjat i jednocześnie na klasztor, w którym zmęczeni zakonnicy mogliby podreperować swoje siły. Miejscowość była rzeczywiście pięknie położona. Jednak sytuacja społeczna w tej okolicy była odmienna od tej, jaka panowała w Nawarze. I właśnie do tej nowej wspólnoty, w tym nowym miejscu został skierowany z początkiem lipca ksiądz Juan. Przełożeni zdecydowali się posłać go tam, gdyż znowu jego zdrowie zaczęło mocno szwankować.

Jak wspomnieliśmy, tamtejsi mieszkańcy mieli inne nastawienie do Kościoła niż ci z Nawarry. Była to ludność bardzo biedna i również zaniedbana pod względem religijnym. Idee rewolucyjne znalazły pośród nich szerszy oddźwięk. Kiedy w ich wiosce pojawiła się wspólnota sercańska, przyjęli ją z dystansem, bez entuzjazmu. Sytuacja zaczęła się zmieniać na gorsze po wyborach majowych. Ludność ta zaczęła przejawiać wobec duchownych coraz większą wrogość. Tylko nieliczni wyłamywali się z tej ówczesznie panującej „mody”.

Ksiądz Méndez, mimo że przyjechał na wypoczynek, nie zamierzał pozostać obojętny na to, co działo się za ogrodzeniem kościoła i klasztoru. A sytuacja wzywała... Na pierwszym miejscu była to bardzo skomplikowana sytuacja duszpasterska. I trudno się było temu nawet dziwić. Otóż niejeden proboszcz, zastraszony przez bojówki rewolucyjne, opuszczał swoją parafię lub po prostu się ukrywał. Przychodziły kolej-

ne niedziele i święta, a dzwony kościelne milczały, bramy pozostawały na głucho zamknięte i wszędzie zdawał się panować porządek rewolucyjny, w którym nie było miejsca na sprawy Boga.

Prawdopodobnie ten porządek utrzymałby się w zastraszonej społeczności, gdyby nie tacy ludzie i kapłani jak ksiądz Juan. Nie uległ on powszechnemu zniechęceniu i zastraszaniu. Ciągłe czuł się kapłanem powołanym do pilnowania Bożego stada. Gdy szedł przez wieś i słyszał, jak ktoś przeklina lub złorzeczy, miał odwagę upomnieć go. A że robił to w sobie właściwy sposób, z ogromną dobrocią, choć stanowczo, jego uwagi nie wzbudzały początkowo negatywnych reakcji. Widząc pozamykane w niedzielę okoliczne kościoły, udawał się do jednego czy drugiego, otwierał je i dzwonił w dzwony, wzywając ludzi na celebrację niedzielnej Eucharystii. To był cały on – pełen gorliwości o sprawy Chrystusa. I jemu w tej sytuacji należy przypisać to, co mówiono o Jezusie: *gorliwość o dom Twój mnie pożera* (por. Ps 69,10 oraz J 2,17).

Zdawał sobie sprawę, jak zresztą większość społeczeństwa, że w tej sytuacji wojna musi wybuchnąć. W odróżnieniu jednak od wielu kapłanów i świeckich nie pozwolił, by owładnęło nim poczucie strachu i bezradności. On widział rzeczywistość inaczej. Był głęboko przekonany, że wojna przyjdzie, ale że będzie to dla Hiszpanii czas oczyszczenia i kary za grzechy społeczne, jakich popełniono niemało w ostatnich czasach. Kara przyjsć musiała, bo wielka była przede wszystkim niesprawiedliwość społeczna, brak troski o najbiedniejszych, nierówne prawa dla różnych grup

społecznych, nierówne szanse w dostępie do wykształcenia. To w żadnym wypadku nie mogło podobać się Bogu i winę za tę sytuację ponosili niewątpliwie także i ludzie Kościoła – zarówno świeccy, jak i duchowni. Aby odkupić te winy, trzeba było wielkich ofiar. Ksiądz Juan nie w pełni zdawał sobie sprawę, jak będą wyglądać te ofiary, ale na razie nie zaprzętał sobie tym głowy. On był gotów złożyć taką ofiarę. Był gotów od dawna. Pełen wiary i mocy prawdziwie Bożej, zapalał nią innych. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że sprawy Boże ostatecznie zwyciężą, bo nie mogło być inaczej. Rozsiewał wokół niezłomną wiarę i promieniował entuzjazmem. Wszystkim dodawał ducha wobec nadciągającego niebezpieczeństwa.

Kiedy 18 lipca wybuchło powstanie wojskowe, sytuacja w tej okolicy jeszcze bardziej się pogorszyła. Przyjaciele księży ostrzegli ich, że do tej miejscowości zbliżają się zbrojne oddziały rewolucjonistów. Nie można było już zwlekać. Należało natychmiast uciekać, i to jeszcze w przebraniu, gdyż w okolicy pełno było czerwonych bojowników. Przełożony nakazał więc swoim współbraciom by pozostawili sutanny, założyli ubrania cywilne oraz schronili się tam, gdzie kto mógł dotrzeć. Ksiądz Juan przywdział więc takie ubranie, jakie znalazł. Na wierzch włożył starą marynarkę, zbyt obszerną na niego, która wyraźnie na nim wisiała. To właśnie od tej marynarki będą go później nazywać w więzieniu nieco przekornie, ale przede wszystkim z sympatią: Ksiądz Marynareczka.

Tak przebrany udał się do Walencji. Jednak to właśnie w tym regionie walka z Kościołem katolickim była

najbardziej zażarta. Jeden z tamtejszych przywódców, José Diaz, który pełnił jednocześnie obowiązki odpowiedzialnego za sekcję hiszpańską Trzeciej Międzynarodówki, miał się wyrazić w 1936 roku: „W prowincjach rządzonych przez nas Kościół już nie istnieje. Hiszpania wyprzedziła tutaj Sowietów, bo na dzisiaj Kościół w Hiszpanii został unicestwiony”. Ta i inne wypowiedzi wskazywały jednoznacznie na cele owej rewolucji. Tu nie chodziło o prawa człowieka i sprawiedliwość, ale o otwartą walkę z Kościołem katolickim i jego strukturami w społeczeństwie hiszpańskim. Ksiądz Juan, gdy ruszał w drogę do Walencji, chyba nie w pełni zdawał sobie sprawę z sytuacji, jaka tam panowała. Również inni współbracia sądzili, że pośród ogólnego polowania na księży lepiej się schronić tam, gdzie jest się nieznanym. A właśnie w Walencji nikt księdza Juana nie znał i dlatego tak spokojnie poszedł w kierunku „swojej Jerozolimy”.

Pozostając w przebraniu i w ukryciu byłby się tam pewnie i uchował, gdyby nie wydarzenie, o którym musimy teraz opowiedzieć. Kiedy udawał się do Walencji, nie była to oczywiście podróż w ciemno. Miał ze sobą adres pewnej współpracownicy księdza Lorenzo Canto, która mieszkała w pobliżu kościoła „Świętych Janów”. Tak nazywano powszechnie w Hiszpanii kościoły, które na wzór bazyliki laterańskiej miały za swoich patronów św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelistę. Otóż ten tytuł nosił w Walencji chyba jeden z najpiękniejszych kościołów. Położony w centrum obok Mercado Central (Rynku Centralnego), dominował nad miastem i często był uważany za jego symbol.

Mury tego kościoła były nasączone wielowiekową modlitwą, upiększały je dzieła sztuki wykonane przez wiele pokoleń artystów. Wielokrotnie przebudowywany, kościół „Świątych Janów” zachował ostatecznie charakter barokowy. A barok hiszpański miał niezwykłą szlachetność formy, jakże różniącą go od baroku na przykład niemieckiego. Wielkim bogactwem tego kościoła były freski namalowane przez Palomina.

W drodze do mieszkania znajdującego się w pobliżu tego kościoła, nasz ksiądz Juan chciał naturalnie do niego wstąpić na krótką modlitwę. Czynił tak często w swoim kapłańskim życiu. Gdy zbliżył się do świątyni, zobaczył okropną rzecz. Oto „bohaterowie rewolucji” wśród śmiechów i drwin, które wznosiły się na widok przerażenia okolicznych mieszkańców, podpalał właśnie ten wspomniały kościół. Na środku nawy zebrali wszystko, co nadawało się spalenia, a więc szaty i sprzęty liturgiczne, szafy, ławki itd. Oto dokonywała się jedna z wielu haniebnych inscenizacji rewolucyjnych. Zaślepieni w walce z tym, co Boże rewolucjonści nie zważali już na świętość miejsca, ani na wartość artystyczną i historyczną bezczeszczonego obiektu. Jak dobrze znamy te fakty, powtarzające się wedle identycznego scenariusza już od czasów rewolucji francuskiej. A zaczynało się wszystko pod hasłami wolności, sprawiedliwości i demokracji...

Ksiądz Juan, mimo że był człowiekiem pokornym i delikatnym, miał jednak w sobie sporą dozę porywczowości i impulsywności. Do tego musimy jeszcze dodać jego gorliwość w Bożych sprawach. Nie mógł więc pozostać obojętny wobec tego, co działo się na jego

oczach. Chociaż był wmieszany w tłum i w przebra-
niu, to jego kapłańska dusza kazała mu zareagować.
Z oburzeniem i na głos wykrzyknął wtedy: *To okrop-
ne! To przestępstwo! To świętokradztwo!*

Być może w ten sposób wyraził uczucia oniemiale-
go ze zgrozy i przerażenia tłum. Ale otaczający go
tłum nie zrobił nic, by ratować świątynię. Pozostał nie-
my. Natomiast bojownicy rewolucji czuli się silni i bez-
karni. Któż mógłby im przeszkodzić! Czuli się panami
świata. Gdy więc usłyszeli jeden głos protestu, a nie
mógł być to głos zbyt mocny, bo przecież pochodził od
osoby raczej bardzo niewielkiego wzrostu i w dodatku
schorowanej, zainteresowali się nim. Nie spodziewali
się przecież żadnego sprzeciwu, bo zdążyli się już przy-
zwyczaić do milczenia tłum.

Jeden z nich zbliżył się więc do protestującego i z wy-
raźnym poczuciem wyższości, wytykając go palcem
mówi do niego: „Ty jesteś carca!” (Było to pogardliwe
określenie ludzi o prawicowych poglądach politycznych,
czyli przeciwników rewolucji). Oczywiście w takiej sy-
tuacji ksiądz Juan nie zamierzał się już ukrywać. Z całą
godnością i z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć jego sła-
by organizm, zaprotestował: *Jestem kapłanem, tylko
kapłanem, i protestuję wobec takiego zbezczeszczenia!*
To wystarczyło. W kraju, w którym polowano na księ-
ży, znaleziono następną ofiarę. A tłum stał niemy.
Bojówkarze zaprowadzili go więc bez przeszkód na po-
sterunek milicji, skąd potem został przewieziony do
więzienia, nie jako więzień polityczny, ale jako kapłan.
Tak rozpoczął się ostatni etap jego ziemskiej ofiary skła-
danej na ołtarzu Bożego Serca.

Ofiara w duchu miłości i wynagrodzenia

Ksiądz Juan, ciągle w swojej przydługawej marynarce, został umieszczony w więzieniu Modello w Walencji, w celi 476 na czwartym piętrze. Więzienie było przepełnione. Tłumy ludzi doświadczwały tu na sobie skutków rozgorzałego pożaru nienawiści społecznej. Rozpalili go nieodpowiedzialni agitatorzy, a jego ofiarą padli wszyscy, może najbardziej ci niewinni. W tłumie, który wypełniał teraz to miejsce kaźni nie mogło zabraknąć również duchownych i zakonników. Pośród nich wyróżniał się Ksiądz Marynareczka. Był jednym z tych, którzy się nie poddali i dlatego łatwo go było zauważyć. Miał dla każdego dobre słowo, jakąś zachętę i przede wszystkim uśmiech. Gdziekolwiek pojawiał się, niósł boleśnie doświadczonemu więźniowi pokrzepienie. Możemy łatwo sobie wyobrazić, nawet na podstawie naszych polskich powojennych doświadczeń, że miejsce to wypełniali głównie ludzie niesłusznie oskarżeni, podejrzani, na których doniósł sąsiad czy osobisty wróg, którzy może nawet chcieli pozostać z dala od wszystkiego, a teraz znaleźli się niemal w centrum wydarzeń, i to bez możliwości wpływania na nie. Bo siły rewolucji i kontrrewolucji są zawsze ślepe, kierowane przez bożka nienawiści.

Nie wiadomo, czy stało się to na skutek jakiegoś szczególnego przywileju, czy też z jakiegoś innego powodu, ale właśnie z więzienia ksiądz Juan napisał jeden ze swoich ostatnich listów, i to bardzo znamiennych. Oto w dzień świętego Wawrzyńca męczennika (10 sierpnia) przypomniał sobie o imieninach ówczesnego przełożonego generalnego w Rzymie, księdza

Wawrzyńca Philippe. Napisał więc do niego list, opisując swoje uwięzienie i wyrażając niespotykaną pogodę ducha:

Czcigodny Ojcze, od prawie trzech tygodni jestem tutaj uwięziony, ponieważ protestowałem przeciw straszliwemu spektaklowi palenia kościoła i jego profanacji. Niech Bóg będzie błogosławiony! Niech On spełni swoją boską wolę! Osobiście cieszę się, że mogę cierpieć coś dla Tego, Który tak wiele przecierpiał dla mnie, biednego grzesznika!

W podobnym stylu pisał również inne listy. Widać, jak bardzo jego wiara, miłość do Chrystusa i gotowość do poświęcenia kształtowały wszystko, o czym myślał i co robił. Oczywiście postawa ta udzielała się innym. Oprócz przydomka Ksiądz Marynareczka szybko nadał mu w więzieniu i drugi: Ksiądz Jasiu. Musiał przyspaść do serca współwięźniom i dlatego tak go lubiano. A był wszędzie, gdzie było trzeba i na ile pozwalał reżim życia więziennego. Pocieszał, spowiadał, wraz z pozostałymi kapłanami przewodził wspólnym modlitwom.

Miał ze sobą w więzieniu mały notesik, w którym skrzętnie zapisywał wszystkie wydarzenia, a także dokładny plan własnego więziennego dnia. Notesik ten, podziurawiony kulami, znaleziono potem w kieszeni jego spodni. Z niego właśnie dowiadujemy się, że miał czas przeznaczony na osobistą modlitwę, na odmawianie brewiarza (na szczęście pozwolono mu go zatrzymać), na modlitwę z grupami więźniów. Był wierny do końca wszystkim praktykom życia zakonnego. Ryzykując poważnymi karami wyrysował na ścianie swej

celi znaki Drogi krzyżowej i odprowadzał ją codziennie. Zdawał sobie sprawę, że musi stale podążać za Chrystusem. Nie może pozostać sam. To właśnie było zapewne źródłem jego siły, która pozwalała mu przewycięzać więzienny terror oraz nie poddać się przygnębieniu i zastraszeniu.

Więźniów przygnębiało ogromnie to bezprawie i bezkarność strażników, którzy robili z nimi, co chcieli. Uzbrojeni po zęby czuli się wobec bezbronnych więźniów jak panowie życia i śmierci. Do tego dochodził jeszcze makabryczny rytuał, jaki rozpoczynał się zwykle około dziewiątej wieczorem. Wyprowadzano wtedy wyznaczonych więźniów „na wolność”. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że idą tam, skąd nie ma powrotu. Działo się to wszystko bez żadnego sądu, bez stawiania pytań, bez żadnej możliwości prawnej obrony. Był to po prostu sposób na likwidację niewygodnych osób, o poglądach nie mieszczących się w kategoriach ustalonych przez obowiązujący od niedawna system wartości. Wydarzenia te musiały wpływać na wszystkich. Wydawało się, że z tej sytuacji nie ma już wyjścia. A jednak!

Przebywający w więzieniu kapłani, wśród nich ksiądz Juan, starali się mobilizować wszystkich do wspólnej modlitwy. Więźniowie wspominali potem, że grupy którym przewodniczył ksiądz Juan, modliły się najdłużej. Oprócz litanii lub nowenn odprowadzanych z wielką gorliwością, dołączał on potem do wspólnej modlitwy jeszcze rozważania Pisma świętego. A ponieważ znał na pamięć wiele cytatów z Ojców Kościoła, przybliżał je uczestnikom wspólnej modlitwy.

Chociaż więźniowie nie mieli możliwości odprawiania Mszy świętej, to jednak mieli głęboką świadomość, że właściwie w każdej chwili gdzieś na świecie jakąś się odprawia. Starali się więc złączyć duchowo z jej uczestnikami. A metoda była bardzo prosta. Recytowano wspólnie pewne modlitwy, które normalnie odmawiał kapłan i wierni podczas Mszy świętej. Przywoływano w ten sposób niejako celebrację Mszy świętej w mroku celi więziennej. Wszystko to przynosiło wielki pożytek duchowy więźniom.

Inaczej na to patrzyli oczywiście strażnicy. Widok rozmodlonych więźniów doprowadzał ich często do pasji. Więźniowie więc, by nie prowokować furii swoich prześladowców, starali się ukrywać przejawy swojej pobożności. Ale i w tym względzie zaszła z czasem zmiana w rozumowaniu uwięzionych. Wielu, a pośród nich i ksiądz Juan, doszło do wniosku, że lepiej umrzeć modląc się niż ulegać szaleństwu oprawców. Tak czynili przecież pierwsi chrześcijanie, męczennicy pierwszych wieków. Ukrywano się zatem coraz mniej. Różaniec odmawiano wspólnie na korytarzach. Sam Ksiądz Marynareczka znowu się tu wyróżniał. Gdy przychodziła odpowiednia godzina, zabierał swój brewiarz i na dziedzińcu więzienia odmawiał go na oczach wszystkich więźniów i strażników. Ze spojrzeń tych ostatnich można się było domyślić, że wcześniej lub później Ksiądz Marynareczkę „zatłuką”.

Ale w jego zachowaniu nie było jednak nic prowokującego. On sam był przekonany, jak również i wielu innych współwięźniów, że siedzi w więzieniu nie tyle za przekonania polityczne, ale za to, że jest kapłanem

i zakonnikiem. Nie ukrywał też tego nigdy. Zawsze zachowywał swoją godność kapłańską. Więźniowie zgodnie zeznawali potem, że był grzeczny i serdeczny nie tylko w stosunku do nich, ale również do strażników. To może czyniło ich jeszcze bardziej bezsilnymi wobec tego małego księżunia.

Zwierzył się kiedyś jednemu ze współwięźniów, że otrzymał potajemnie Komunię świętą. Ostatnio bowiem aresztowany kapłan, jeden z profesorów seminarium, zdołał przemycić do więzienia Ciało Pańskie. Jakiż głęboki ślad pozostawiło to na księdzu Juanie. Wszyscy widzieli go jakby był w „siódmym niebie”. A zbliżała się już pora męczeństwa.

Jak już wspomnieliśmy w tym więzieniu panował makabryczny rytuał. Oto około godziny dziewiątej wieczorem zajeżdżała na podwórze ciężarówka i zaczynało się wyczytywanie nazwisk więźniów, „którzy rzekomo mieli wyjść na wolność”. Ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę, na czym polegało owo uwolnienie, dlatego w więzieniu następowały wtedy chwile grozy. Każdy bał się, że wyczytają jego nazwisko. W dniu 23 sierpnia 1936 roku ksiądz Juan usłyszał własne. Nie wiemy, co działo się w jego sercu. Był przecież realistą, a nie człowiekiem „nawiedzonym”, a więc i w nim musiał się odezwać głos sprzeciwu, szczególnie gdy widział, jak inni płakali. Jest jednak faktem, że przygotowywał się na ten moment już od długiego czasu. To, co działo się teraz, było tylko podsumowaniem życia pojętego jako składanie codziennej ofiary dla Bożego Serca w celu wynagrodzenia Mu za zniewagi i niewierności.

O ostatnim etapie tej drogi wiemy bardzo niewiele. Wiemy, że egzekucja odbywała się na terenie posiadłości zwanej El Sario. Był to ogród, w którym rosły drzewa oliwne, a pośrodku przebiegał kanał doprowadzający na miejsce wodę. Według jednego z autorów biografii księdza Juana³ ogród ten przypominał bardzo Ogród Getsemani, w którym Jezus na modlitwie składał ofiarę ze swojego życia. Ta tajemnica Chrystusa była zawsze bliska Ojcu Dehonowi i jego duchowym synom. Być może i te skojarzenia napełniały potem duszę księdza Juana. Rąbka tajemnicy odsłanili tu sami oprawcy, którzy – nie potrafiąc unieść ciężaru przeżytego doświadczenia – podzielili się nią z innymi. Niektórzy z nich powiedzieli, że ksiądz Juan umierał z okrzykiem: *Niech żyje Chrystus Król!* Powtarzał zresztą te słowa już w momencie, gdy zabierano go na ciężarówkę, o czym świadczą potem współwięźniowie. Gdy skończono rozstrzeliwanie, ze sterty ciał podnosił się jeszcze cichy szept modlitwy. Oprawca zbliżył się do miejsca, z którego dochodził ów szept i rozpoznał, że to głos znanego mu Księdza Marynareczki. Suchy strzał z pistoletu przerwał tę modlitwę, ale jak wiemy przeniosła się ona w postaci śpiewu przed Tron Baranka (por. Ap 14,1nn). Oprawcy także twierdzili, iż cała ta grupa rozstrzelanych była niczym grupa księży. Oczywiście nie było to prawdą. Prawdą było jednak, że duszę tej grupy stanowił ksiądz Juan. I on tak wpłynął na pozostałych, iż ich postawa zaskoczyła oprawców. Trochę światła na ostatnie chwile rozstrzelanych

³ Ks. Evaristo Alegría, *dz. cyt.*, s. 28.

rzuciły badania medyczne zwłok, przeprowadzone w czasie ekshumacji. Okazało się, że nie było to zwykłe rozstrzeliwanie. Wiele obrażeń na ciałach zamordowanych wskazywało na szereg okrutnych tortur, jakie zadano im przed śmiercią. Była to prawdziwa droga przez mękę. I dlaczego ich tak męczono? Na to pytanie tak samo trudno odpowiedzieć, jak na to o wiele starsze: Dlaczego istnieje zło? Dlaczego skazano Jezusa na niesprawiedliwą śmierć? A była to noc, która rozpoczynała obchód świętego Bartłomieja Apostoła i męczennika.

Świadectwo

Rewolucja skończyła się zwycięstwem wojsk generała Franco. Ale było to jedynie zwycięstwo militarne, które być może stworzyło warunki do uporządkowania sytuacji politycznej, ale do niczego więcej. Leczenie ran społecznych spowodowanych wojną domową trwało wiele lat i do dzisiaj nie wiadomo, czy społeczeństwo przezwyciężyło jej negatywne skutki. Miał jednak rację dobry ksiądz Juan gdy mówił, że Hiszpania potrzebuje wielu ofiar. Nowego społeczeństwa nie zbuduje się bowiem nienawiścią rewolucyjną czy kontrrewolucyjną. Trudno dzisiaj należycie ocenić rolę tych, którzy oddali swe życie za Hiszpanię w taki sposób, jak ksiądz Juan, czyli bez jakiegokolwiek nienawiści i z głęboką wiarą w zwycięstwo Bożej sprawy.

Kiedy Jan Paweł II zauważył, iż wiek XX był wiekiem męczenników jeszcze bardziej niż pierwsze wieki chrześcijaństwa, sprowokował krytykę wielu środowisk. Szczególnie podnosili głos spadkobiercy

idei rewolucyjnych, którzy do dzisiaj nie pogodzili się z przegraną w wojnie hiszpańskiej 1936 roku. Oni to poczuli się zagrożeni, gdy rozpoczął się proces beatyfikacyjny męczenników tej wojny. Z jednej strony coraz bardziej wychodziła bowiem na jaw prawda o tamtych czasach, z drugiej zaś demaskowano również fałsz rewolucyjnych mitów, troskliwie budowanych przez dziesięciolecia w różnych środowiskach i kręgach kulturowych, które ukazywały zawsze w jasnych barwach wszelkich rewolucjonistów. Dobrze pamiętają to dorośli Polacy ze swoich lat szkolnych. Kiedy więc podniosły się głosy krytyki Ojciec Święty wyjaśniał przy różnych okazjach znaczenie męczeństwa w Kościele i rolę aktu wyniesienia tych ludzi na ołtarze. Nie chodziło absolutnie o jakieś rewindykacje historyczne, czy uskarżanie się na prześladowania Kościoła. Przez akt beatyfikacji i kanonizacji swoich męczenników Kościół stawia przed oczami ludzi wierzących chrześcijański ideał. Nikt nie może być uznany za świętego męczennika, jeśli nie można udowodnić, iż umierał bez nienawiści do swoich prześladowców, iż ofiarował swoje życie za innych, iż uczynił to wszystko z miłości do Chrystusa i do Jego Kościoła. To zaś nie jest zagrożeniem dla nikogo, a jedynie podkreśla ciągłą konieczność takich postaw w życiu chrześcijan. Męczennik daje pełne świadectwo dopiero po swojej chwalebnej śmierci.

Ciało księdza Juana rozpoznano w masowym grobie po jego notatniku w kieszeni spodni, krzyżyku profesyjnym oraz szkaplerzu Zgromadzenia, przestrzeżonym w dwóch miejscach. Dokładniejsze badania

sztucznej szczęki, której używał, potwierdziły przypuszczenia. To było ciało skromnego Jezusowego sługi, wielkiego świadka mocy Jezusowej Ewangelii, księdza Juana Marii de la Cruz Méndeza, sercanina. W 1940 roku doczesne szczątki naszego bohatera zostały przeniesione do Puente la Reina, do szkoły apostoelskiej, w której pracował, do chłopców, z którymi tak bardzo związał swoje życie. Rozpoczął się długi proces beatyfikacyjny, bo szybko zorientowano się, jak ważne miejsce zajmuje ksiądz Juan w świadomości ludzi wierzących. Teraz zaś, gdy zostaje wyniesiony na ołtarze, jego świadectwo nie będzie ograniczało się do jednej tylko wspólnoty, ale będzie służyło Hiszpanii, Zgromadzeniu, w duchu którego doszedł do dojrzałego heroizmu chrześcijańskiego, i całemu Kościołowi.

Znaczenie męczeństwa w Kościele

Historia pierwszych wspólnot chrześcijańskich wciąż pozostaje dla nas obfitym źródłem informacji na temat sposobu wyznawania wiary w Jezusa Chrystusa, życia wspólnotowego, przekazywania Ewangelii oraz modlitwy. Niejednokrotnie porównujemy nasze wzorce chrześcijańskie z ówczesnymi, aby mieć pewność, że idziemy wciąż tą samą drogą. Pragniemy w ten sposób sprawdzić, na ile i my jesteśmy autentyczni i bliscy ideałowi ewangelicznemu. Tam też musimy sięgnąć na początek, chcąc zweryfikować nasze pojęcia na temat roli męczeństwa w Kościele.

Początki refleksji chrześcijańskiej o męczeństwie

Historia męczenników w pierwszych wspólnotach chrześcijańskich jest z pewnością wzruszająca. Pojawili się oni bardzo wcześnie (por. Dz 4, 1nn), bo przecież męczeństwo św. Szczepana miało miejsce niewiele po Zesłaniu Ducha Świętego. Również bardzo wcześnie chrześcijanie nauczyli się to wydarzenie interpretować w świetle Ewangelii. Właśnie opis męczeństwa św. Szczepana jest tego pierwszym i wymownym przy-

kładem (zob. Dz 7,54-60). Przebija z niego wyraźny zamiar autora, by podkreślać to wszystko, co łączy świętego męczennika z Osobą Jezusa Chrystusa, co przypomina Jego mękę. Stąd zostało podkreślone niesłuszne oskarżenie, sprowokowane nauczaniem Ewangelii, modlitwa do Ojca Niebieskiego, szczególnie o darowanie winy prześladowcom i ofiarowanie własnego życia, a zatem to, co świadczy, iż było to coś więcej niż tylko pasywne ponoszenie męki. Dostrzeżenie podobieństwa między męczeństwem chrześcijanina a Męką Jezusa Chrystusa świadczy, iż w takim męczeństwie widziano kontynuację i aktualizację tej drugiej. Tym sposobem Chrystus nadal żyje w społeczności swojego Kościoła, w ludziach, którzy Go naśladowają. Ponieważ ci chrześcijanie umierali jak Chrystus, więc również w nich objawi się tajemnica Chrystusowego zmartwychwstania. Chrystus zwycięża nadal w sobie właściwy sposób i to przekonanie umacniało wszystkich chrześcijan. Krzepiło ono całą wspólnotę wierzących.

Trudno się dziwić zatem, że męczennicy cieszyli się tak wielkim szacunkiem w społeczności chrześcijańskiej. Dzień ich męczeństwa, mimo przerażających realiów tamtego wydarzenia, stawał się świętem chrześcijańskim. Kontynuując starą tradycję dotyczącą wspominania bliskich zmarłych w rocznicę ich urodzin, chrześcijanie przenieśli ją również na męczenników. Dość szybko jednak jako dzień urodzin zaczęto przyjmować nie ten, w którym człowiek przychodzi na świat, ale ten, w którym rodzi się dla nieba, a zatem dzień męczeństwa.

Tak powstał zwyczaj obchodzenia rocznicy męczeństwa jako wydarzenia liturgicznego w Kościele. Powszechnie przyjmuje się dzisiaj, że zwyczaj ten datuje się od męczeństwa św. Polikarpa⁴, które miało miejsce prawdopodobnie 23 lutego 155 roku⁵. Wspólnota chrześcijańska w Smyrnie, której biskupem był właśnie św. Polikarp, wysłała do innych wspólnot list⁶ (przede wszystkim w regionie Wielkiej Frygii), w którym informowała o chwalebnej śmierci swego biskupa oraz o postanowieniu liturgicznego obchodzenia rocznicy jego męczeństwa. Brak w tym liście jakiegokolwiek lamentacji, uzalania się czy śladu nienawiści do prześladowców. Dominuje natomiast wielki zachwyt nad tym, co się stało dzięki Bożej łasce. Ewidentnie Kościół ten dzielił się swoim skarbem. Cieszono się zwycięstwem, bogactwem, a nie płakano z powodu straty.

Czyżby chrześcijanom tamtych pokoleń brakowało poczucia realizmu? Czyżby byli ludźmi owładniętymi jakimś szaleństwem? Poczucia realizmu im z pewnością nie brakowało. Bali się cierpienia jak wszyscy normalni ludzie i wielu z nich ugięło się pod presją zagrożenia. Dobrze jest nam znana historia tzw. chrze-

⁴ A. BERGAMINI, *Cristo festa della Chiesa*, Rzym 1982, s. 411.

⁵ Badacze nie są zgodni w tym względzie, podając jako prawdopodobne daty: 22 lutego 156 lub 22 lutego 177. Por. J. QUASTEN, *Patrologia*, I, Turyn 1980, s. 76n.

⁶ Wydany np. przez T. CAMELOT w *Sources Chrétiennes*, 10, Paryż 1951, s. 242-274. Fragmenty w tłumaczeniu polskim zobacz w Liturgii Godzin pod wspomnieniem św. Polikarpa 23 lutego (LG III, s. 1138n).

ścijan upadłych z tego okresu historii Kościoła. Zawahali się oni w tym trudnym momencie i najczęściej później przez resztę życia starali się odpokutować tę słabość. Chrześcijan nie można posądzać o brak realizmu. Raczej należy dostrzec w ich postawie widzenie czegoś więcej, niż widzi człowiek w normalnym, codziennym rytmie życia. Począwszy od św. Szczepana męczennicy w tym ostatnim momencie walki cieszą się jakimś innym widzeniem rzeczywistości, o wiele szerszym niż nasze postrzeganie. To pozwala im potem ocenić nawet perspektywę cierpienia i utraty życia za pomocą innych kryteriów. Gdy dokonują tego odkrycia – otwarcia, odtąd ich postępowanie staje się niezrozumiałe dla przeciętnego człowieka. Jest to owoc ich zjednoczenia z Chrystusem. Męczennik zatem to ktoś, kto nie tylko cierpi dla Chrystusa lub z powodu Chrystusa, ale także ktoś, kto cierpi zjednoczony z Chrystusem. To daje mu siłę.

Właśnie w środowisku pierwszego Kościoła ukształtowała się również nazwa „męczennik”. Ponieważ było to środowisko kultury greckiej i rzymskiej, więc tam należy szukać źródła tego słowa. I tu czeka nas niespodzianka. Słowo polskie „męczennik” nie jest prostym tłumaczeniem słowa, którego używało się wtedy i używa nadal w wielu współczesnych językach. Polskie słowo podkreśla fakt cierpienia. Męczennik to ktoś, kto cierpiał. Tymczasem słowo greckie i łacińskie, którym określano męczennika: *martyr*, oznacza świadka, czyli człowieka, który dostarcza dowodów przy dochodzeniu do prawdy, szczególnie w czasie procesu sądowego. Nie jest to oczywiście pomyłka. Kiedy język polski

dostosowywał się do pojęć chrześcijańskich, łacińskie słowo *martyr* określało człowieka, który cierpiał i umarł za wiarę. Tak je rozumiała wtedy, i chyba rozumie w dużej mierze do dzisiaj, wspólnota chrześcijańska.

My chcemy jednak dowiedzieć się, dlaczego w pierwszych wspólnotach użyto tego właśnie słowa, choć wtedy miało ono o wiele szersze znaczenie. Dlaczego męczeństwo chrześcijanina zaczęto nazywano *świadczeniem*, dowodem przy dochodzeniu do prawdy? Jest to ciekawy problem i warto się nad nim zastanowić. By na to pytanie odpowiedzieć, należałoby zapytać o to ludzi z tamtych czasów. Nie jest to takie trudne, gdy mamy do naszej dyspozycji niektóre źródła z tamtego okresu, często doskonale opracowane.

Słowo *martyr* znajdujemy już w samych tekstach Nowego Testamentu. Używa go przede wszystkim św. Jan i to w sposób bardzo konsekwentny⁷. Najpierw mówi o świadectwie, jakie dał Ojciec Niebieski swojemu Synowi. Znajdujemy to w wypowiedzi samego Jezusa, kiedy wyjaśnia rolę Jana Chrzciciela jako świadka, ale powołuje się na świadectwo (*memartyrêken*), jakie dał Mu Ojciec (J 5,37), czyli w jaki sposób Ojciec potwierdził Jego misję.

Oczywiście odnosiło się to dzieł, jakie Chrystus jest w stanie realizować i do zapowiedzi Pisma, które o Nim mówią. Bowiem samego oblicza Boga nikt nie widział. Tego samego słowa *martyria* używa św. Jan, kiedy przytacza rozmowę Jezusa z Nikodemem.

⁷ Por. słowo *martire* w AA.VV., *Dizionario sintetico di teologia*, Città del Vaticano 1995, s. 208n.

Nikodem nie może zrozumieć, jak może się zrealizować nauka Jezusa o powtórным narodzeniu się człowieka, szczególnie gdy ten już jest dorosły. Jezus wzywa go wtedy, by przyjrzał się dokładnie wszystkiemu, co On robi, jakie zostawia świadectwo (*martyria*), gdyż inaczej trudno mu będzie zrozumieć rzeczy dotyczące spraw niebiańskich. A więc znowu chodzi o czyny, i to czyny, które nie mieszczą się w kategoriach zwykłego ludzkiego rozumowania. Świadectwo daje również św. Jan Chrzciciel. Całym swoim życiem świadczy o Jezusie Chrystusie (J 1,7-8), swoim nauczaniem (J 1,15; 3,26; 5,33), w dyskusjach z faryzeuszami (J 1,19-36) itd. Również w tym przypadku świadectwo Janowe odnosi się do Jezusa, mówi o Jezusie Chrystusie – Mesjaszu i Zbawicielu. W konsekwencji również i uczniowie Jezusa stają się świadkami tego, co widzieli i co przeżyli przy Nim (Łk 24,48). Przekazują Jego naukę, ale przede wszystkim świadczą o tym, że naprawdę umarł i po trzech dniach zmartwychwstał.

Staje się to możliwe jednak dopiero po otrzymaniu mocy Ducha Świętego (Dz 1,8). Ludzkie siły są tutaj niewystarczające. Tego rodzaju świadectwo uczniów staje się również ich zadaniem i obowiązkiem (Łk 24,48; Dz 1,22). Ponieważ często ściąga ono na nich prześladowanie, cierpienie, a nierzadko także i śmierć, stąd łatwo zauważyć, iż cierpienie za Chrystusa i za Jego Ewangelię staje się po prostu *świadectwem* (*martyria*), a człowiek, który je daje, jest *świadkiem* (*martyr*), tak jak św. Szczepan (Dz 22,20) i jak całe mnóstwo tych, którzy „zwyciężyli dzięki krwi Baranka i dzięki słowu swojego świadectwa” (Ap12,11). To ostatnie znacze-

nie słowa *świadek* stało się obowiązujące w Kościele i zostało potem przetłumaczone na język polski jako *męczennik*.

Gleba męczenników

Wszyscy ogólnie wiemy, skąd biorą się męczennicy. Jednak gdy przyjrzymy się bliżej kryteriom, jakie stosowała wspólnota chrześcijańska wobec tego zjawiska, sprawa okazuje się o wiele trudniejsza. Przede wszystkim sprawa męczeństwa nie jest dziełem przypadku. Powiedzieliśmy to już wyżej. Nie wystarczy stracić życie w kontekście religijnym⁸. Nie chodzi o jakieś bierne znoszenie cierpienia, a w końcu i śmierci. Męczennik zawsze uważany jest za kogoś, kto ofiarował swoje życie, kto zwyciężył.

Wspomniany powyżej ostatni cytat z Apokalipsy św. Jana podkreśla wewnętrzny dynamizm owego świadectwa. Jan, opisując dzieje Kościoła, ukazuje jego trudne doświadczenia, ale również i ostateczne zwycięstwo. Ci zaś, którzy w tym Kościele zwyciężyli, dokonali tego mocą Jezusa Chrystusa i dzięki własnemu świadectwu. Podobnie i ci, którzy stoją w białych szatach przed Barankiem (por. Ap 7,9-17). Podkreślono tu dwa nie-

⁸ Doskonałe i syntetyczne zestawienie doktryny chrześcijańskiej w tym względzie daje nam książkę biskupa Rino Fisichella, podkreślając jak ten właśnie aspekt nigdy nie podlegał kwestii od starożytności aż po dzisiejsze czasy. Por. R. FISICHELLA, *Martyre*, [w:] LATOURELLE R. et FISICHELLA R. (dir.), *Dictionnaire de la théologie fondamentale*, Paryż 1992, s. 765.

odłączne źródła siły męczenników, którymi są krew Baranka i słowo świadectwa.

Pierwszym źródłem jest „krew Baranka”. Pod tym pojęciem rozumie się całe Misterium Chrystusa Zbawiciela, które przyjęte przez chrześcijanina rodzi w nim nowe życie (Rz 16,25; Ef 1,7-9, Kol 1,26-27). Zawiera w sobie Tajemnicę Jego Męki i Zmartwychwstania. Chrześcijanin może się złączyć z Chrystusem w tym Misterium poprzez sakramenty święte. Daje temu wyraz święty Paweł, gdy mówi do Filipian: *To dążenie niech was ożywia: ono też było w Chrystusie Jezusie. On, istniejąc w postaci Bożej...* opisując dalej właśnie Misterium Chrystusa, które kończy się Jego wywyższeniem w chwale Ojca (por. Flp 2,5-11). Jest to zatem również i perspektywa otwarta dla każdego chrześcijanina. Chrystus umarł dla naszego zbawienia i ten kto przyjmuje Chrystusa, może osiągnąć zbawienie, ostateczne zwycięstwo. Danie ostatecznego świadectwa było zatem wynikiem zjednoczenia z Chrystusem oraz oczywiście działania Ducha Świętego. Już dlatego nie było tu miejsca na przypadek. Chrześcijanie, modlący się potem w starożytnych bazylikach, nieustannie wpatrywali się w łuk tryumfalny⁹ i umacniali się w przekonaniu, że właśnie męczennicy są tego najlepszym

⁹ Był to mur, który zwierzał konstrukcję nawy głównej w miejscu, gdzie łączyła się ona z transeptem. Ponieważ jej kształt przypominał starożytne łuki tryumfalne, dlatego przyjęła się taka jego nazwa. Było to uprzywilejowane miejsce na przedstawianie sceny tryumfu Baranka, opisaną przez św. Jana w Apokalipsie. Tak jest np. w bazylice św. Praksedy, św. Klemensa, świętych Kosmy i Damiana oraz wielu innych w Rzymie.

dowodem. Moc krwi Baranka stanowiła niewyczerpalny skarbiec Kościoła.

Drugim źródłem siły męczenników, o którym mowa w cytowanym tekście Apokalipsy, jest samo świadectwo, jakie oni dają. Jest to tylko pozorna sprzeczność. Świadectwo to nic innego, jak wyznawanie wiary. Przypomnijmy w tym miejscu, co mówił św. Paweł: *Bo sercem przyjęta wiara prowadzi do usprawiedliwienia, a wyznawanie jej ustami do zbawienia* (Rz 10,10). Czyn człowieka, oparte na jego wewnętrznej decyzji, określają go i formują. Sam proces dawania świadectwa wierze ma zatem swoją wewnętrzną siłę. Czytając akta męczenników łatwo się o tym się przekonać, gdy widzi się jak zmieniają się oni pod wpływem dawania swego świadectwa. Ten sam proces stopniowego dojrzewania w wierze pod wpływem jej wyznawania zauważamy już w Ewangelii, np. w opisie uzdrowienia niewidomego od urodzenia (por. J 9,1-41). Kto raz wyznał wiarę w Chrystusa, staje się zdolniejszy do kolejnych aktów, jeszcze bardziej głębszych i autentycznych.

Opisane tutaj źródła siły męczenników mają swój naturalny kontekst. Misterium Jezusa Chrystusa i jego owoce są dostępne dla człowieka w Kościele. Tę wspólnotę założył Chrystus, aby była nieustannym sakramentem zbawienia dla wszystkich ludzi¹⁰, a więc ma ona kontynuować Jego dzieło. Również naturalnym środowiskiem, w którym każdy chrześcijanin uczy się wyznawać swoją wiarę, jest wspólnota Kościoła. Dzieje się to przede wszystkim w czasie celebracji liturgicz-

¹⁰ Por. LG 1.

nej. Ta wspólnie wyznawana wiara buduje Kościół od wewnątrz i na zewnątrz. Można więc podsumować, że Kościół jest naturalnym środowiskiem, glebą, na której rodzą się męczennicy-świadkowie. Do tego Kościół został powołany (np. Łk 24,48). Jeśli wspólnota Kościoła jest autentyczna, nie brakuje jej świadków-męczenników. Jest to znak rozpoznawczy jej autentyczności. Nie należy więc dziwić się, iż pierwsze wspólnoty tak cieszyły się wspominaniem męczenników. To był znak ich siły. A można nawet powiedzieć, że do pełni swego życia Kościół koniecznie potrzebuje męczenników¹¹. Skoro męczeństwo zakłada zjednoczenie z Chrystusem i świadectwo, szczególnie to pochodzące z miłości, to w ten sposób wyraża się przecież również główna misja Kościoła – ewangelizacja.

Sens obecności męczenników w Kościele

Męczennik staje się naprawdę sławny dopiero po swoim zwycięstwie. Wspomniana już historia ze świętym Polikarpem w Smyrnie jest tylko dowodem na naturalną tendencję obserwowaną we wspólnotach chrześcijańskich. Szczyciły się one swoimi bohaterami, dzieliły się z innymi pokrzepiającą historią ich zwycięstwa, a ich groby otaczano coraz większą czcią. Stawały się one celem pielgrzymek począwszy od III i IV wieku. Jeśli któryś z męczenników był złożony w katakumbach, łatwo było zauważyć to miejsce ze względu na maksymalne zagęszczenie innych grobów w tej okolicy.

¹¹ Por. R. FISICHELLA, *dz. cyt.*, s. 758.

Cześć wobec doczesnych szczątków męczenników, chociaż przypominała nieco obrzędy związane ze wspomnianiem zmarłych w kulturze rzymskiej i greckiej, była jednak zupełnie czymś innym. Po pierwsze, wspomnienie to dotyczyło nie tylko najbliższej rodziny męczennika, ale angażowało całą wspólnotę, a nawet wychodziło daleko poza jej granice. Biskup Kartaginy św. Cyprian tak pisał do swoich kapłanów w czasach prześladowań Decjusza (250 rok) na temat tych, co umierali za wiarę: *zapiszcie dzień, w którym odchodzą z tego życia, abyśmy mogli celebrować ich wspomnienie, tak jak wspominamy wszystkich męczenników*¹². Jest zatem świadkiem ustabilizowanej już praktyki uroczystego obchodzenia wspomnienia męczenników w szerokim gronie wspólnot chrześcijańskich. Po drugie, nie obchodzono dnia narodzin tych ludzi, ale znaleziono nową formułę. Obchodzono rocznicę męczeństwa jako dzień prawdziwych narodzin albo inaczej narodzin dla nieba. Obchody te były niezwykle radosnym wydarzeniem, które nie miało absolutnie nic wspólnego z opłakiwaniem zmarłych.

W centrum takiego obchodu znajdowała się celebrowana eucharystyczna, która być może przypominała nawet w pewnym stopniu pogańskie uczty cmentarne dla uczczenia zmarłych, ale jej treść i znaczenie były zupełnie inne¹³. Także nie modlono się za nich, ale coraz częściej chrześcijanie zaczęli modlić się do męczenników.

¹² Św. CYPRIAN, *Epistola* 12,2.

¹³ Por. P. JOUNEL, *Santi, Culto dei*, [w:] SARTORE D.-TRIACA A. M. (ed.), *Nuovo Dizionario di Liturgia*, Rzym 1984, s. 1338n.

Można więc z tego wszystkiego wywnioskować, że już dla pierwszych wspólnot chrześcijańskich obecność męczenników była ważnym elementem ich życia kościelnego. Radosne przeżywanie tych wspomnień poświadczało wspólnotom wciąż aktualną obietnicę Chrystusa: *A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata* (Mt 28,20). Była to też weryfikacja autentyzmu ich postawy chrześcijańskiej. Jeśli bowiem pojawiają się chrześcijanie zdolni naśladować Chrystusa aż do śmierci, w tych wspólnotach panuje więc Jego duch. Nie można również zapominać, iż „propagowanie” postawy męczenników, którzy zwyciężyli mimo tak wielkich przeciwności, musiało mieć niewątpliwy wpływ również na umocnienie ducha wspólnot wciąż narażonych na prześladowania.

Już w trzecim wieku chrześcijanie modlili się do męczenników o pomoc w rozwiązywaniu różnego rodzaju problemów codziennych. Z tego okresu pochodzą np. napisy wokół grobu św. Piotra. Rozwinął tę praktykę bardzo mocno Kościół Średniowiecza. Oddał On pod „opiekę” poszczególnych świętych w zasadzie każdą dziedzinę życia społecznego i osobistego. I tak jak kiedyś pierwsze wspólnoty chlubiły się z posiadania grobu jakiegoś męczennika lub przynajmniej jakichś jego szczątków, tak teraz każde miasto, każdy zamek miał swoich „świętych protektorów”, a byli to najczęściej męczennicy.

To zaufanie do męczenników i szukanie ich pomocy w obliczu niebezpieczeństw pochodziło ze sposobu postrzegania ich męki. Stanęli oni wobec trudności, wyzwania i podjęli walkę. A była to walka przede

wszystkim z własną słabością, która prowadziła równocześnie do zwycięstwa nad złem. To pojęcie „walki” stoczonej przez męczenników przed śmiercią prowokowało wierzących do ufego szukania ich pomocy we wszelkich walkach, jakie trzeba było staczać w życiu. Nierzadko męczenników nazywano po prostu Bożymi atletami¹⁴. Ale w Średniowieczu z powyższego rozumowania wyciągnięto jeszcze inny wniosek. Gdy przyglądamy się ikonografii tego okresu, łatwo dostrzegamy, iż męczennicy są przedstawiani na obrazach i rzeźbach z atrybutami swojej męki. Nie jest to jedynie informacja historyczna na temat ich martyrologii. Oni ukazują te elementy jako sztandar swojego zwycięstwa. Podkreślano w ten sposób, że skoro zwyciężyli znosząc mękę w takich okolicznościach, to teraz mogą pomagać chrześcijanom w podobnych sytuacjach. I tak choćby bliski nam św. Florian został utopiony. Jego męczeńska śmierć okazała się jednak zwycięstwem. Odniósłszy już raz zwycięstwo w walce z tym żywiołem teraz pomaga nam, ludziom wierzącym i szukającym jego wstawiennictwa, opanować tenże żywioł oraz drugi z nim spokrewniony, jakim jest

¹⁴ „Święta jest ziemia zroszona waszą krwią, o zwycięzcy atleci Pana, i święte są miejsca, co kryją wasze ciała, bo wy zwyciężyliście Nieprzyjaciela na arenie wyznając z wiarą Chrystusa. Zechciejcie wyprosić nam zbawienie dusz naszych” – to przykład modlitwy używanej bardzo często w tradycji bizantyjskiej. Jeden z naszych łacińskich hymnów ku czci męczenników zaczyna się słowami: „Pobłogosław, męczenniku / Dzień radosny twego święta, / W którym krew przelełeś mężnie, / By otrzymać wieniec chwały” (Godzina czytań z tekstów wspólnych o jednym męczenniku).

ogień. W ikonografii św. Florian najczęściej ukazywany jest, jak gasi wodą pożar. W tradycji chrześcijańskiej chroni on domostwa przed ogniem i powodzią, a także jest szczególnym patronem strażaków.

Inną męczennicę, świętą Katarzynę Aleksandryjską, przedstawia się na obrazach z kołem, którym kiedyś była łamana. Stała się więc opiekunką między innymi tych, którzy mają do czynienia z kołami w swojej pracy, jak np. kolejarze. Ponieważ świętą Apolonie męczono, wedle podań, przez wrywanie jej zębów, dlatego ukazuje się ją często z własnymi zębami na tacy, stała się zatem opiekunką cierpiących na ból zębów. Męczennicy więc, z całą swoją mocą uzyskaną w wyniku stoczenia zwycięskiej walki, stają się częścią życia społecznego we wszystkich jego wymiarach.

Współczesna wizja sposobu obecności męczenników w Kościele została ukształtowana w dużej mierze na II Soborze Watykańskim. Przede wszystkim Konstytucja *O Kościele*, ale nie tylko, dała nowy wykład tej doktryny¹⁵. Po podkreśleniu istniejących dotychczas elementów, takich jak zjednoczenie z Chrystusem, włączenie w misję Kościoła oraz upodobnienie do Chrystusa również w momencie śmierci, zwrócono szczególną uwagę na główny motyw tego świadectwa, jakim jest miłość. Męczeństwo-świadectwo będzie teraz ukazaniem miłości Boga do człowieka. Najpełniej wyraził to Jezus Chrystus poprzez całkowitą ofiarę z życia złożoną za grzesznego człowieka.

¹⁵ Głównie: LG 42 i 50; GS 20; AG 24; DH 11 i 14.

Zgodnie z tym kryterium w 1982 roku Kościół dostrzegł także w śmierci św. Maksymiliana Kolbe wymiar męczeński. Również teraz błogosławiony Juan María de la Cruz jest męczennikiem, bo ofiarował swoje życie za Hiszpanię, za swój naród, za Kościół. W tej sytuacji narodziła się potrzeba nowego postrzegania męczenników we wspólnotach chrześcijańskich dzisiaj. Są oni potrzebni, by świadczyć o absolutnym prioryecie miłości. Ojciec Święty, przygotowując Wielki Jubileusz i ukazując jego podstawowe wymiary, powiedział: *Zwłaszcza w naszej epoce męczennik jest znakiem owej największej miłości, w której zawierają się wszystkie inne wartości*¹⁶. Takich męczenników XX wiek przyniósł nam wielu, a Kościół może się cieszyć ich obecnością i potrzebuje ich szczególnie w dziele nowej ewangelizacji.

¹⁶ JAN PAWEŁ II, Bulla *Incarnationis misterium*, nr 13.



Sercańska lektura wydarzeń

Pierwszy męczennik sercański

Gdy Przełożony Generalny Zgromadzenia Księży Sercanów ogłaszał swoim listem z 18 grudnia 2000 roku radosną wieść o beatyfikacji księdza Juana Marí de la Cruz, przypominał że był on pierwszym historycznie męczennikiem sercańskim. Za nim ustawia się coraz dłuższa kolejka ludzi, którzy realizując swoje powołanie sercańskie znaleźli się wobec konieczności dania ostatecznego świadectwa i nie zawahali się to uczynić. A lista staje się coraz bardziej imponująca:

1936: ks. Juan María de la Cruz García Méndez (Hiszpania), beatyfikowany 11.03.2001.

1941: ks. Franz St. Loh (Niemcy), który kontestując niesprawiedliwości reżimu faszystowskiego został zabity w więzieniu.

1942: ks. Joseph B. Stoffels et Nicolas A. Wampach (Luksemburg).

1944: ks. Nicola M. Capelli (Włochy), oddał życie za zakładników w czasie okupacji niemieckiej.

1944-1945: 11 misjonarzy holenderskich, którzy umarli w japońskim obozie koncentracyjnym w Muntok (Indonezja). Wszyscy świadomie oddawali swe życie jako misjonarze sercanie za ludzi, wśród których pracowali:

ks. Petrus M. Cobben (42 lata),
ks. Andreas Gebbing (38 lat),
ks. Wilhelmus F. Hoffmann (34 lata),
ks. Franciscus B. Hofstad (40 lat),
ks. Theodorus Th. Kappers (41 lat),
ks. Isidorus G. Mikkers (48 lat),
br. Gerardus *Matthaeus* Schulte (47 lat),
br. Theodorus *Wilfridus* van der Werf (46 lat),
ks. Petrus N. van Eyk (37 lat),
ks. Franciscus J.B. van Iersel (36 lat),
ks. Henricus N. van Oort (56 lat).

1945: P. Christian H. Muermans (Belgia).

1961-1964: 28 misjonarzy (Belgowie, Luksemburczycy, Holendrzy i jeden Włoch), którzy oddali swe życie w czasie rebelii w Kongo. Wszyscy oni, świadomi swojego powołania sercańskiego, oddawali swoje życie za ludzi i za Kościół, w którym pracowali:

ks. biskup Joseph A. Wittebols (52 lata),
ks. Amour J. Aubert (37 lat),
ks. Karel J. v. R. Bellinckx (51 lat),
ks. Hermanus W. Bisschop (45 lat),
ks. Martinus *Damianus* Brabers (59 lat),
ks. Clément F. Burnotte (33 lata),
ks. Joseph Ch. B. Conrad (49 lat),
ks. Johannes B. de Vries (53 lata),
ks. Henricus D. Hams (46 lat),

ks. Leo L.-M. Janssen (38 lat),
 br. Jozef *Andries* Laureys (51 lat),
 ks. Aquilino *Bernardo* Longo (57 lat),
 ks. Jacques J.V. Moreau (30 lat),
 ks. Gerardus St. Nieuwkamp (32 lata),
 br. Jozef *Alois* Paps (43 lata),
 ks. Arnoldus W. Schouenberg (46 lat),
 br. Wilhelmus *Arnulfus* Schouenberg (40 lat),
 ks. Johannes A. Slenter (35 lat),
 ks. Josephus J. Tegels (37 lat),
 ks. Franciscus Th. M. ten Bosch (51 lat),
 ks. Jean I. Trausch (46 lat),
 ks. Christian J.B. Vandael (35 lat),
 ks. Jeroom G. Vandemoere (32 lata),
 ks. Petrus J. van den Biggelaar (46 lat),
 br. Henrik *Jozef* Vanderbeek (52 lata),
 ks. Henricus B. van der Vegt (55 lat),
 ks. Henricus J.E. Verberne (40 lat),
 ks. Wilhelmus P. Vranken (35 lat),

Nie będzie chyba nadużyciem jeśli do tej liczby, przynajmniej w sposób nieoficjalny, będziemy zaliczać także tych wszystkich naszych współbraci, którzy oddali swoje życie w ofiarnej pracy misyjnej. Nie zostali zamordowani, ale przez swoją ofiarną pracę spalili się dla Chrystusa. Na pierwszym miejscu trudno nie wspomnieć o pierwszych misjonarzach w Kongo, których zabijał klimat nawet po jednym tylko miesiącu pracy. Do nich musimy zaliczyć np. trzech współbraci francuskich zabitych w 1959 roku w Kamerunie. I choć nie było to oddanie życia bezpośred-

nio za wiarę, to jednak była to śmierć dla Chrystusa w czasie pracy misyjnej.

Do grupy sercańskich męczenników nasz Przełożony Generalny proponuje zaliczać także inne osoby, nie tylko samych zakonników, które były z nami związane szczególnie przez życie tą samą duchowością. I tu na pierwszym miejscu trzeba wymienić błogosławioną Anwarite Nangapeta, wspaniały kwiat wyrosły na kongijskiej ziemi, która oddała swoje życie w obronie czystości właśnie w czasie rebelii w 1964 roku. Była to siostra ze Zgromadzenia Najświętszej Rodziny, założonego przez sercańskiego biskupa Camille Verfaillie w 1937 roku. Do swojej ofiary z życia przygotowała się pod kierownictwem duchowym księdza biskupa Józefa Wittebolsa, również sercanina i również męczennika z tamtych okropnych czasów.

Widząc tak wspaniałe owoce duchowości i charyzmatu, jakie pozostawił nam Ojciec Jan Leon Dehon, trzeba się radować. Trzeba jednakże jeszcze raz docenić tę drogę, tę metodę i każdy jej szczegół oraz zaangażować się w jej realizację. Bez ofiarnej miłości, całkowitego oddania siebie nasze powołanie nie ma sensu. I chociaż to trudne, to pomagają nam na tej drodze również nasi męczennicy-świadkowie.

Sercański błogosławiony

Beatyfikacja, czyli publiczny akt Kościoła, którym wynosi on na ołtarze któregoś ze swoich członków, dotyka tę wspólnotę w jej fundamentach. Mówi bowiem o ideałach, którymi ona żyje i jakie stawia sobie

wymagania w realizacji dzieła powierzonego jej przez Chrystusa. Nie inaczej musi być i w przypadku tej beatyfikacji. Jej wpływ, szczególnie na wspólnoty sercańskie, będzie jednak zależał od sposobu percepcji tych znaków. Myślę tu przede wszystkim o naszych wspólnotach zakonnych. Niemniej jednak niemal od samego początku istnienia Zgromadzenia są z nami złączeni liczni świeccy, którzy – urzeczeni charyzmatem Ojca Dehona – realizują go tam, gdzie ich Pan postawił. Nie mogą zatem i oni być wyłączeni z tego „przypływu” łaski Bożej.

Refleksja przeprowadzona wcześniej wskazuje w zasadzie dość jednoznacznie również i konkluzje o „charakterze sercańskim”. Nie mogą one iść innymi drogami, jak te wyznaczone przez tradycję Kościoła. Warto jednak przynajmniej kilka z nich podkreślić.

Myślę, że przedstawiony wcześniej krótki życiorys księdza Juana wystarczająco ukazuje jego przywiązanie do charyzmatu Ojca Dehona oraz do ideału miłości i wynagrodzenia. Mimo początkowych poszukiwań to właśnie na tej drodze odnalazł on radość oddania się Bogu do końca. Ksiądz Wilhelm Zick, który przyjmował go do Zgromadzenia i był mu bliski przez cały czas, zostawił potem na procesie znamienne świadectwo odnośnie do jego życia duchowego. Podkreślił jego ogromną cześć wobec Najświętszego Sakramentu oraz wobec Matki Najświętszej. Zachwycał się nawet po latach jego kazaniami na temat miłosierdzia Bożego Serca. Jego ukochanie adoracji, praktyk pierwszego piątku, ofiarowanie każdego dnia z czystej miłości Sercu Jezusowemu oraz niezwykle pobożny sposób cele-

browania codziennej Mszy świętej przyczyniały się do ciągłego wzrostu jego podstawowego pragnienia życiowego. A było to pragnienie, aby dać „jeszcze więcej” w odpowiedzi na miłość Boga objawioną w Jezusie Chrystusie. Kiedy zatem zbliżały się trudne czasy, dobrze wyczuwając potrzeby społeczne i interpretując je w duchu naszego charyzmatu, niejednokrotnie potwierdzał wobec różnych świadków swoją gotowość do całkowitego poświęcenia się za ukochaną ojczyznę. W jego przypadku nie był to jakiś romantyzm wyrosły z chwilowego uczucia, ale konsekwencja wieloletniego poznawania Boskiego Mistrza i wpatrywania się w Jego Otwarte Serce. Żył i działał bardzo pokornie. Nie pozostawił po sobie wiekopomnych dzieł. Jednak to właśnie ta pokorna droga doprowadziła go do najpełniejszej odpowiedzi na Boże powołanie. Dowodem na to jest właśnie beatyfikacja, przez którą Pan Bóg zechciał to pokorne świadectwo ewangeliczne postawić wysoko przed naszymi oczami, bo spodobało się Mu i przyniosło chwałę Imieniu Bożemu (por. Ps 115,1).

Ksiądz Juan María de la Cruz żyjąc naszym charyzmatem doszedł do heroizmu w praktykowaniu Ewangelii. Potwierdzili to ludzie żyjący z nim i widzący jego postawę pełną wiary i miłości zarówno do Boga, jak i do człowieka. Potwierdza to Kościół aktem beatyfikacji. Jest to zatem również potwierdzenie przez Kościół naszej drogi: jej możliwości i konieczności. Chciałoby się powiedzieć nawet coś więcej odczytując znak tej beatyfikacji. Jest to bowiem pierwsza beatyfikacja w studwudziestoletniej historii Zgromadzenia. Nawet nasz Założyciel, sam Ojciec Leon De-

hon, nie dostał jeszcze tego honoru. Nie znaczy to, że w jego drodze do świętości czegoś brakowało. Akt Kościoła musimy jednak odczytywać jako kolejny element Bożej pedagogii względem nas. Jeśli Kościół chce mieć nasze Zgromadzenie, to chce mieć je zgodnie z charyzmatem pozostawionym nam przez Założyciela. A to właśnie nasz Założyciel podkreślał, iż cechą która musi odróżniać nas w Kościele to umiejętność całkowitego ofiarowania się (*immolatio*)¹⁷. Oblat, a tak nazywał on początkowo swoich zakonników, powinien ofiarować się na serio, być ofiarą – oblatem (gra słów!). Taki był sens wynagrodzenia praktykowanego od samego początku¹⁸. Uważał, że najważniejszym świętem dla nas powinno być przeżywanie Tajemnicy Zwiastowania, bo właśnie przychodząc na świat Chrystus powiedział swoje *ecce venio* – oto idę. Oblaci powinni w każdy swój czyn włączyć również akt miłości i wynagrodzenia¹⁹. Nie chciał on prawdopodobnie mieć w swoim Zgromadzeniu wielkich rzesz ludzi, chciał

¹⁷ O. Dehon, z konferencji do nowicjuszy 25 lutego 1880 roku: „Odnosnie do nas, tym co winniśmy naśladować, to jego życie ofiarowania się. Jezus Chrystus widzialnie ofiarował się w dniu swej męki, kiedy Jego Ciało zostało przybite do krzyża. Od tego czasu są jeszcze ukrzyżowani jego uczniowie. Gdyby tego wymagał od nas, winniibyśmy byli odpowiedzieć Jego łasce”. Za M. DENIS, *Projekt Ojca Dehona*, Kraków 1990, s. 45.
Z dnia 28 kwietnia 1880 roku: „Tym co jest dla nas najbardziej specjalne, to wielkoduszność w ofierze i miłości. Jezus chce serc wspaniałomyślnych. Nie ma nic małego w ofierze. Ofiarujmy się więc wspaniałomyślnie”, Tamże, s. 41.

¹⁸ Tamże, s. 34 i 43.

¹⁹ Tamże, s. 35.

natomiast każdemu z jego członków zaszczyć tego szczególnego ducha ofiary i poświęcenia. Czyż zatem beatyfikacja najpierw pokornego męczennika ze Zgromadzenia nie staje się przypomnieniem nam naszych ideałów? Czy nie „stoi” za tym również i nasz Założyciel, jak zwykle burząc utarte i przyjęte schematy myślenia?

Dzisiaj możemy liczyć na szczególną obecność błogosławionego księdza Juana Marii de la Cruz w naszych wspólnotach. Liczymy zatem na odnowienie ufności w moc naszego charyzmatu. Będąc wśród nas obecny, będzie nas umiał zapalić również do zrobienia jeszcze czegoś „więcej” dla Chrystusa, jak nas uczył Założyciel i jak robił to on sam. I chociaż zmieniły się dzisiaj realia życia kościelnego i społecznego, to ta właśnie zasada jego realizacji nie zdeaktualizuje się nigdy. Znajdzie jedynie nową formę wyrazu.

Wspomnienie – czynić obecnym przez modlitwę

Mądrością człowieka jest pamięć o własnej historii. Mądrością człowieka wierzącego jest pamięć o tym, co Bóg uczynił dla nas wszystkich (por. Ps 78,7; 103,2). Wspominać jest rzeczą ludzką, ale jest również cnotą, która ma swoje korzenie w łasce Bożej. Liturgia chrześcijańska rozumie wspomnienie nieco szerzej, niż jest to w powszechnym użyciu. Potocznie bowiem, gdy wspominamy, odwołujemy się do pewnych wydarzeń historycznych, które wzbudzają w naszym sercu różne uczucia. W liturgii chrześcijańskiej również od tego doświadczenia się zaczyna. Idzie ono jednak znacznie dalej. Staje się przywołaniem rzeczywistości o charakterze zbawczym. Chrzęścijanie bowiem od samego początku istnienia swoich wspólnot i zgromadzeń liturgicznych, gdy „wspominali” Chrystusa, doświadczali jego realnej obecności. Powtarzali więc z wiarą znaki, które czynił Pan, właśnie w celu uobecnienia go pośród siebie. Potem – gdy nauczyli się oni „wspominać” Matkę Bożą, świadków-męczenników, a następnie wyznawców i innych świętych – również wtedy głównym motywem takich celebracji było „przebywanie z nimi”.

Taki jest sens każdego święta chrześcijańskiego, a także wspomnień świętych i męczenników. Proponujemy tutaj krótką modlitwę, która może być odprawiana zarówno wspólnotowo, jak i prywatnie, związaną ze wspomnieniem błogosławionego księdza Juana Marii de la Cruz Garcíi Méndeza. Poprzez tę modlitwę pragniemy pobudzić naszą wolę, za wstawiennictwem naszego nowego Błogosławionego, do gorliwego i ofiarnego realizowania naszego powołania w różnych jego wymiarach.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

HYMN²⁰

Śpiewajmy hymny tryumfu
I sławmy dzisiaj z radością
Zwycięstwo Bożego wyznawcy
Nad lękiem, bólem i śmiercią.

Jak Chrystus okryty hańbą,
Samotny wobec cierpienia,
Odważnie poniósł męczeństwo,
Bo uwierzył miłości.

Odchodząc z ziemi w udręce
Wyznał mężnie przed światem,
Że Bóg jest dobrem najwyższym
I On mu życie przywróci.

²⁰ Hymn z jutrzni o wielu męczennikach, dostosowany. Por. LG III, s. 1469.

A teraz patrzy w oblicze
Swojego Mistrza i Zbawcy,
Gdyż On mu bramę otworzył
Królestwa wiecznej światłości.

Niech męka sług Ewangelii
Umocni wiarę Kościoła,
A nam wyjedna obmycie
W ożywczej krwi Barankowej.

Wielbimy Ciebie, Wszechmocny,
Za świadków Twojej wielkości;
Majestat, cześć i podzięka
Niech będzie Trójcy Najświętszej. Amen.

CZYTANIE

Rz 8,35.37-39

Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej?
Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość,
niebezpieczeństwo czy miecz? Ale we wszystkim tym
odnosimy pełne zwycięstwo dzięki Temu, który nas
umiłował. I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie,
ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniej-
sze, ani przyszłe, ani Moce, ani co wysokie, ani co głą-
bokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas
odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Je-
zusie, Panu naszym.

Chwila cichej medytacji.

K. W Tobie, o Serce Jezusa, mą ufność złożyłem, *
i nie będę zawiedziony na wieki.

W. W Tobie, o Serce Jezusa, mą ufność złożyłem, *
i nie będę zawiedziony na wieki.

- K. Miłosierdzie Boga będę wychwalał.
W. I nie będę zawiedziony na wieki.
K. Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu.
W. W Tobie, o Serce Jezusa, mą ufność złożyłem, *
i nie będę zawiedziony na wieki.

AKTY WIARY, NADZIEI I MIŁOŚCI

Wierzę w Ciebie, Boże żywy,
W Trójcy Jedyny prawdziwy.
Wierzę coś objawił, Boże,
Twe Słowo mylić nie może.

Ufam Tobie, boś Ty Wierny,
Wszechmocny i Miłosierny.
Dasz mi grzechów odpuszczenie,
Łaskę i wieczne zbawienie.

Boże, choć Cię nie pojmuję,
Jednak nad wszystko miłuję;
Nad wszystko co jest stworzone,
Boś Ty – Dobro Nieskończone.

W miejsce tych aktów można odmówić Skład Apostolski (Wierzę), natomiast we wspólnotach sercańskich słusznym byłoby zastąpić je którymś z aktów ofiarowania.

PROŚBY²¹

Przez błogosławionego Jana Marię od Krzyża
i wszystkich męczenników, którzy ponieśli śmierć dla

²¹ Patrz jutrznia o wielu męczennikach, LG III, s. 1470.

słowa Bożego, wysławiajmy naszego Zbawiciela, wernego Świadka, i wołajmy do Niego:

Chryste, nasz Panie, Ciebie wysławiamy.

Przez Twoich męczenników, którzy dobrowolnie śmierć ponieśli dając świadectwo wierze,

– obdarz nas, Panie, prawdziwą wolnością ducha.

Przez Twoich męczenników, którzy przelaną krwią potwierdzili swoje wyznanie wiary,

– daj, abyśmy zawsze zachowywali nienaruszoną wiarę.

Przez Twoich męczenników, którzy przyjmując krzyż, poszli Twoimi śladami,

– spraw, Panie, abyśmy mężnie znosili utrapienia życia.

Przez Twoich męczenników, którzy przyjęli Twoją łaskę i obmyli swe szaty we krwi Baranka,

– daj, Panie, abyśmy Twoją mocą pokonali zasadzki ciała i świata.

Przez Twoich męczenników, którzy uwierzyli Twojej miłości i nią pokonywali nienawiść,

– daj, Panie, abyśmy umieli budować zgodę i miłość między ludźmi.

Ojcze nasz.

Modlitwa

Wszechmogący, wieczny Boże, Ty umocniłeś swego sługę Jana Marię od Krzyża dając mu poznać bogactwo Twojej miłości do każdego człowieka, † spraw za jego wstawiennictwem, abyśmy z miłości ku Tobie cierpliwie znosili wszelkie przeciwności * i ze wszyst-

kich sił dążyli do Ciebie, który jesteś prawdziwym życiem. Przez naszego Pana Jezusa Chrystusa, Twojego Syna, który z Tobą żyje i króluje, w jedności Ducha Świętego, Bóg, przez wszystkie wieki wieków. Amen.

K. Przez zasługi Twoich męczenników.

W. Naucz nas budować Twoje Królestwo.

K. Błogosławmy Panu.

W. Bogu niech będą dzięki.

Spis treści

Wstęp	5
Życie Juana Marii Garcíi Méndeza	9
Początki	9
Posługa kapłańska	11
W ciągłym poszukiwaniu	15
W Zgromadzeniu Księży Sercanów	18
Gorliwy zakonnik	20
Kwestarz i poszukiwany kaznodzieja	23
W stronę ołtarza ofiarnego	32
Ofiara w duchu w miłości i wynagrodzenia	40
Świadectwo	46
Znaczenie męczeństwa w Kościele	49
Początki refleksji chrześcijańskiej o męczeństwie	49
Gleba męczenników	55
Sens obecności męczenników w Kościele	58
Sercańska lektura wydarzeń	65
Pierwszy męczennik sercański	65
Sercański błogosławiony	68
Wspomnienie – czynić obecnym przez modlitwę ...	73

Kiedy w grudniu 2000 roku ogłoszono w Watykanie datę nowej beatyfikacji – 11 marca 2001 roku, wiadomość ta zelektryzowała szczególnie wspólnoty sercańskie na całym świecie. Oto bowiem Ojciec Święty zaplanował wynieść do chwały ołtarzy kolejną grupę męczenników wojny hiszpańskiej z 1936 roku, w której znalazł się również sercanin, ksiądz Juan Maria de la Cruz García Méndez.

Wydarzenie to mobilizuje nas, sercanów. Ksiądz Juan to jeden z naszych współbraci i pierwszy nasz męczennik. Jego imię otwiera coraz dłuższą listę tych, którzy podążając drogą charyzmatu pozostawionego nam przez Ojca Dehona doszli do heroicznego wyznania swojej wiary.

Ze Wstępu

